DŹWIGNIA

ADRES:
WARSZAWA
WSPÓLNA 20
m. 39

N-r 1
CENA 1 zł 50 gr

MIESIĘCZNIK
WARSZAWA
MARZEC
1927

Dźwignia

MARZEC 1927 Nr. 1.

Zadaniem „Dźwigni" jest skupienie tych pracowników kultury (literatów, plastyków i t. d.), którzy stoją na gruncie dążeń współczesnego proletarjatu. Ludzi takich jest dziś w Polsce znacznie więcej, niżby się zdawać mogło, ale są oni rozproszkowani i odosobnieni. Pismo nasze ma ich łączyć, ogniskować ich usiłowania. Ma ono zarazem orjentować czytelnika w chaosie dzisiejszego rozpadu kultury mieszczańskiej oraz wskazywać drogę stwarzania nowych wartości.

Całkowicie zdajemy sobie sprawę z przygotowawczego charakteru naszej pracy, oraz ze szczupłych możliwości realizowania naszych poczynań w ramach dzisiejszego porządku rzeczy. Pracujemy dla przyszłości z pełnem poczuciem, że ona do nas należy i, że kiedyś w warunkach zupełnej swobody, bez porównania szerzej i skuteczniej pracę naszą prowadzić będziemy. Dziś do naszego programu minimalnego wchodzi przedewszystkiem oczyszczanie gruntu w najbardziej zabagnionych w Polsce dziedzinach ideologji, pełnych najszkodliwszych fałszów, najwulgarniejszych oszustw. Będziemy starali się dawać oświetlenie wszystkich dziedzin kultury, a zwłaszcza wszystkich procesów powstawania nowego świata myśli i sztuki.

W dobie gdy pewne hasła pewne słowa zostały jaknajbardziej nadużyte i wykrzywione, gdy pod firmę międzynarodowości, klasowości, marksizmu podszywa się zjełczały kompromis, zabłąkanie myślowe poszczególnych inteligentów i pospolity snobizm globtrotlerski — akcentujemy tem silniej nasze stanowisko istotnie międzynarodowe i istotnie klasowe.

Najlepszą kontrolą celowości i skuteczności naszej pracy będzie ścisłe trzymanie się bazy marksowskiej — stosowanie metody materjalizmu historycznego, zarówno tam gdzie damy prześwietlenie krytyczne przejawów polskiego życia kulturalnego, obnażenie ich społeczno-klasowego podłoża — jak i tam gdzie zakładać będziemy podwaliny dla nowych zupełnie poczynań.

REDAKCJA

Struktura językowa społeczeństw klasowych

Szkic niniejszy nie rości sobie pretensyj do naukowości. System poglądów w tej sprawie wyniknąć może tylko z krytyki podstaw dzisiejszego językoznawstwa, z metodologicznego i materjalnego powiązania go z całokształtem marksowskiej nauki o społeczeństwie ludzkiem i jego historji. Chodzi mi tutaj jedynie o poruszenie niezmiernie ważnej sfery zagadnień, na które ludzie, myślący kategorjami klasowemi nie zwracali dotąd uwagi.

I. Gdzie tkwi pierwiastek klasowy w życiu językowem?

§ 1. „Objektywnie żaden *język nie istnieje*. Nie istnieje mowa ludzka wogóle. Nie istnieje tak zwany język polski w szczególności. *Istnieją* jako realności, jedynie indywidua czyli osobniki ludzkie, a raczej pojedyńcze *głowy ludzkie* oraz należące do nich części organizmu, w ten lub ów sposób *ujęzykowione*". Tak rozpoczyna prof. Baudoin de Courtenay pierwszy paragraf „Charakterystyki psychologicznej języka polskiego", podnosząc zarazem w zakończeniu tego samego paragrafu:

„Ale znowu *indywidualno - psychiczne istnienie języka* t. j. myślenia językowego, możliwe jest tylko pod warunkiem współistnienia innych istot ludzkich również ujęzykowionych i wzajemnie na siebie oddziaływających, czyli *możliwe jest tylko w społeczeństwie, w zbiorowisku ludzkiem.* Ów indywidualnie istniejący świat psychiczno - językowy mógł powstać również tylko w społeczeństwie, tylko dzięki wzajemnemu oddziaływaniu jednych jednostek na drugie. Nareszcie jasną jest rzeczą, że język ma tylko o tyle sens, o ile służy do celów obcowania społecznego. Z tego wszystkiego wynika, że charakterystyka psychologiczna jakiegokolwiek języka musi być właściwie jego *charakterystyką psychiczno - socjologiczną*". (Podkreślenia wszędzie należą do prof. B. de C.).

Analiza i charakterystyka życia językowego, podjęta ze stanowiska marksistowskiego, nim dotrze do konkretnych indywidualno - psychicznych *wytworów* tego życia, nim wyruszy w poszukiwanie praw, rządzących mową ludzką wogóle czy nawet językiem jakiegoś jednego środowiska etnicznego dajmy na to polskiego, — za punkt wyjścia winna obrać fakt istnienia różnych typów mowy w obrębie każdej społeczności językowej.

Codzienna obserwacja i codzienne doświadczenie poucza nas o istnieniu wśród bardzo a bardzo różnych sposobów wysławiania się po polsku, jednego, gatunkowo w naszych oczach różnego od innych, który zależnie od potrzeby nazywamy polskim językiem literackim, kulturalnym, piśmiennym, poprawnym. Tę cechę poprawności podnosimy najchętniej i o fakty, właściwe temu sposobowi wysławiania się, pytamy zazwyczaj: „jak to się mówi lub pisze *prawidłowo?* jak to *należy* powiedzieć, napisać?".

Obok tego sposobu czy języka istnieje mnóstwo innych: istnieją przeróżne dialekty chłopskie, gwary osad fabrycznych, siarczyste zwroty Antków nadwiślańskich, istnieje „polszczyzna" dzielnic żydowskich, żargony zawodowe, szwargot złodziejski, istnieje oddawna i jakoś dotąd w Polsce nie wykazuje tendencji do zaniku konspiracyjna gwara partji rewolucyjnej, niejeden z tych języków toruje sobie w ten czy inny sposób drogę do wyrazu literackiego, czy to bezpośrednio — bodaj za pomocą kredy i węgla na ścianach i płotach, czy też pośrednio w dziełach pisarzy, posługujących się jedną z tych odmian gwarowych jako tworzywem arty-

stycznem. Każdy z tych języków posiada własne wewnętrzne normy poprawności.

Ale w świadomości t. zw. ogółu kulturalnego „język literacki" nie stoi w jednym szeregu z tem mnóstwem gatunków mowy, jakie się mieści w obszernym zakresie pojęcia „język polski". Przeciwnie, sama ich mnogość podkreśla tylko szlachetne odosobnienie tego jedynego, „naprawdę prawidłowego" sposobu mówienia i pisania. Ten wyłącznie poprawny język — to niby szlachetny kruszec, prawdziwa podstawa waluty, tamto — tylko różne odmiany biletów zdawkowych czy bilonu.

Tu właśnie, w tem rozszczepieniu, w tym bimetaliźmie waluty językowej, widzimy odzwierciadlenie rozbicia społeczeństwa ludzkiego na dwa obozy, z których jeden skupia klasy pracujące i uciskane, drugi zaś, zgarniając społecznie wytworzoną nadwartość, część jej obraca na zasilenie kultury, — tej prawdziwej, wyższej, jedynie obowiązującej.

Powiedziałem „tu właśnie", mam więc obowiązek udowodnienia dwóch twierdzeń: 1), że „tu", to zn. w fakcie istnienia norm języka literackiego znajduje wyraz podział społeczeństwa na klasy, 2), że głównym objawem oddziaływania czynnika walki klasowej w języku jest „właśnie" to rozszczepienie a nie inne szeregi faktów.

§ 2. Tezie pierwszej, że odmienne wartościowanie pewnego sposobu mówienia w danym języku zawdzięcza swój początek przewadze pewnej klasy lub pewnych klas w życiu gospodarczem, społecznem i kulturalnem, możnaby się przeciwstawić, albo jeżeli się założy, że owa wyższość nie jest wyższością funkcjonalną, ale imanentną, tkwiącą w samej istocie tego „lepszego" sposobu mówienia, albo też jeśli się uzna zależność funkcjonalną tego zjawiska od faktów natury *indywidualno - psychologicznej*. W jednym i drugim wypadku usunie się potrzebę odnalezienia podstaw *społecznych* tego wartościowania.

§ 3. Niejeden z nas, wspominając z gorzkim żalem piekło udręki gramatycznej, przez które się przedzierał za młodu, nim zdobył swobodę posługiwania się „normalnym typem poprawnego języka", będzie się dopatrywał istotnej jego cechy a zarazem źródła jego wyższości kulturalnej w elemencie sztuczności, którego brak „naturalnym" stanom językowym.

Wbrew temu należy stwierdzić, że język, jak każdy inny system wymiany *znaków*, płynie z mniej lub więcej uświadomionej konwencji, nigdy zaś nie powstaje sam przez się, z natury.

„*W szczególności* — powiada prof. Rozwadowski w art. p. t. „Językoznawstwo a język literacki" — *jest nonsensem mówić o języku w stanie „naturalnym", czy jak tam i przeciwstawiać go językowi „kulturalnemu" czy jak tam.*

Język jest specyficznym tworem ludzkiej „kultury" i mówić o języku pozostającym w czystym stanie przyrody jest *contradictio in adiecto*". („O zjawiskach i rozwoju języka", część I str. 20; podkreślenia prof. R.).

Inny znów wielbiciel przyrodzonej przewagi języka literackiego posunie się do twierdzenia, że język ten jest wogóle, ot tak bez żadnej przyczyny lepszy od każdego innego, lepiej się nadaje do wszystkiego, wszystko w nim można wypowiedzieć: i „indywidualizm", i „przewartościowanie", i „kryzys pozytywizmu" i tyle innych mądrych rzeczy. Proszę powiedzieć to samo w języku chłopa czy w szwargocie złodziejskim!

Taki wielbiciel z przerażeniem zapewne dowie się o tem, że chłop do swoich chłopskich zajęć ma bardzo dokładnie przystosowane słownictwo, którego nie zna t. zw. język literacki, że o swoich czynnościach, o narzę-

dziach swej pracy będzie mówił z dużo większą precyzją, niż ta, na którą stać w tym wypadku język literacki, że zwroty z języka złodziejskiego tak samo się przydają w tym zawodzie, jak subtelne słownictwo filozoficzne w dociekaniach przyczyn wszechrzeczy.

Można się upierać przy tem, że rozważania metafizyczne i pisanie liryk stanowią szlachetniejsze zajęcie, niż rozpruwanie kas a nawet niż dozorowanie pasącego się bydła, ale niepodobna twierdzić, że wyrazy „empiryzm" i „triolet" w odmienny, lepszy sposób nazywają odnośne pojęcia, niż wyrazy chłopskie na oznaczenie części pługa czy cepu, różnych miejsc na klepisku, gatunków ziarna i mąki, części wozu, stanów pogody, różnych zajęć w polu i t. d., niż terminologja, odpowiadająca przeróżnym narzędziom i potrzebom kunsztu kasiarskiego.

Z różnicy zastosowania niepodobna wysnuwać wniosków o wyższości typu języka.

§ 4. Jeżeli więc ta różnica, różnica na korzyść języka literackiego nie jest samoistna lecz funkcjonalna, może tkwi ona poprostu w różnicy nastroju?

„Inaczej — powiada prof. Rozwadowski — ubieramy się na podomu, inaczej idąc w odwiedziny do znajomych, inaczej na uroczystą wizytę, bal lub posłuchanie. Rozmaicie się też zachowujemy, chodzimy, kłaniamy: inaczej siedzimy w domu po obiedzie, inaczej przy boku pięknej i światowej pani. I tak dalej i dalej. Oczywiście dlatego, że się znajdujemy w rozmaitych nastrojach, które także nazewnątrz z koniecznością się ujawniają; szczegółowa zaś zewnętrzna postać tych nastrojów, to że raz kładziemy żakiet, raz długi redęgot, frak i t. d., to już jest wynikiem ustalenia formy czyli zwyczaju albo mody, Otóż te różne nastroje znajdują swój wyraz i w języku: rozróżnia się zazwyczaj typ mowy swobodny, codzienny i uroczysty, podniesiony, ale naprawdę jest cały *szereg* sposobów mówienia tak jak jest cały szereg sposobów ubrania i zachowania. Nie mogę do kościoła lub na ulicę wyjść w kamizelce, na posłuchanie nie ogolony, za trumną w jasnem ubraniu: nie mogę też, mówiąc w jakimkolwiek uroczystym nastroju, wymawiać „bede, matke", a naodwrót na pytanie kogoś z domowników przy stole: czy będziesz jadł leguminę? wymówię odpowiadając „bede", a nie dobitnie „będę". Do znajomego powiem: masz dobre szkapy; sto razy w swobodnym nastroju wyrażę się: szkapa mi się spłoszyła, ale nie mogę powiedzieć, że cesarz pojechał gdzieś tam nie automobilem, tylko szkapami, że całe ćwiczenia odbył na szkapie, że pod hetmanem ubito szkapę". („Język jako wytwór kultury" w cytowanym już zbiorze „O zjawiskach i rozwoju języka", str. 9 — 10).

Przytoczyłem umyślnie ten długi cytat, bo przeciwnik teorji o społecznej, klasowej genezie „uroczystego typu mowy", któryby w pierwszej chwili włączył to rozumowanie do arsenału swoich dowodów, postąpiłby nad wyraz nierozważnie. Z trafnych porównań autora wyziera tem jaśniej ukryta treść społeczna tej czy owej „szczegółowej zewnętrznej postaci" naszych nastrojów. „Dobre" manjery, „przyzwoity" strój, „poprawny" typ języka — toć to wszystko są różne części niezbędnego uniformu kulturalnego bez którego niema dostępu do podwojów „jedynej i najwyższej" kultury klas posiadających.

I jasną jest rzeczą, że ani krój fraka, ani dobitna nosowość „ę" nie są naturalnym i koniecznym wypływem uroczystego nastroju, tylko wyrazem pewnej konwencji społecznej. A że konwencja taka, zastrzegająca pewnym warstwom społecznym monopol kultywowania jedynego właściwego

typu ujawniania swych nastrojów uczuciowych, wywodzi się z panowania klasowego, tego czytelnikom „Dźwigni" nie mam zamiaru dowodzić.

§ 5. Skoro już zachodzi mowa o czynniku klasowym czy wogóle — (dla niektórych „ponadklasowych" umysłów) — społecznym w języku, mamy zazwyczaj na myśli te momenty społeczne, które spoczęły już w słowach gotowego, konkretnego materjału językowego, mniej zaś zwracamy uwagi na strukturę żywego społeczeństwa mówiącego, którą ja tu wysuwam na czoło rozważań.

Rzecz pewna, że marksowska historja kultury to zn. historja kultur klasowych, powinna w jaknajsilniejszej mierze zużytkować również dane języka. Znajdzie w nich niezmiernie dużo ciekawego materjału, przedewszystkiem w najróżniejszych objawach wartościowania w języku. Stosunki między trzema rodzajami gramatycznemi, — że wskażę pierwszy przykład z brzegu, — mogą przy pogłębionej analizie faktów zasilić niejeden przyczynek socjologiczny.

Zresztą każdy, najpowierzchowniej nawet o rzeczach językowych myślący człowiek, tego rodzaju objawów konsekwentnego oddziaływania form myślenia społeczeństwa klasowego na język łatwo wskaże całe tuziny. Jeden oburzy się na towarzyszki zwrot per „pan" i „pani i nawet poradzi Żeromskiemu, żeby go wyrugował z języka. Innemu znów dopiero powiedzenie „proszę łaski jaśniewielmożnego pana" naprawdę przypadnie do gustu. Jeszcze inny, nieubłagany ateusz, będzie pomstował na „dzięki Bogu" i na zabobonne „do widzenia" i t. d. i t. d.

Znowu materjał dla historyka kultury — i nic więcej. Nasze „pan" samo w sobie nie jest wcale bardziej uniżone, niż uroczysty pluralis maiestatis, zawarty w „wy". Jeśli go się w pewnych sferach wyłącznie używa, to bardziej jaskrawy fakt wyłączności klasowej ujawnia się w tem, jak go się używa, a nie w nim samym, w historji jego znaczenia, o której nikt, mówiąc „niech pan to zrobi" czy „niech pana gęś kopnie!" — nie pamięta. Można i należy oburzać się na obowiązek poniżenia się przed „jaśnie panami", ale nie winić o to języka, który te fakty tylko notuje i odbija. A różne oklepane wykrzykniki w rodzaju „olaboga!", „rany Boskie", czy nawet — horribile dictu! — „Jezus Marja!" tak samo przyczyniają się do siania złudzeń religijnych w masach, jak okrzyki „cholera!" czy „choroba!" do rozpowszechnienia chorób zakaźnych.

Nie tu, nie w tych niewinnych choć rzucających się w oczy faktach, należy szukać terenu żywych i stałych wpływów klas posiadających na naszą mowę, nie tu, ale w codziennym i pospolitym, dlatego nieuchwytnym fakcie panowania tych klas nad całością życia językowego dzięki opanowaniu centralnej pozycji tego życia i języka poprawnego, otoczonego aureolą wyższości kulturalnej.

II. Funkcja społeczna mechanizmu językowego.

§ 1. Po przyjęciu powyższych twierdzeń nasuwa się z kolei podwójne zagadnienie: zagadnienie sensu społecznego i genezy historycznej tego faktu, że klasa, dominująca w dziedzinie gospodarki i kultury, rozciąga także swe panowanie na życie językowe.

Zagadnienie sensu społecznego, którego rozpatrzeniem w tej chwili się zajmiemy, przybiera postać następującą: język jest wszak tylko sposobem wyrażania pewnych rzeczy; skoro się więc panuje nad całym układem faktów, podlegających wyrażaniu, pocóż więc potrzebny jest wpływ na środki wyrazu?

W takiem postawieniu sprawy tkwi zapoznanie specyficznej funkcji tworów językowych w psychice społecznej i jednostkowej, zapoznanie ich samodzielności i przeoczenie tkwiącego w nich pierwiastka uczuciowego.

§ 2. Stałe używanie tych samych znaków językowych dla oznaczenia pewnych pojęć i rzeczy wytwarza w nas naogół uświadomione wyobrażenie o jakimś stosunku koniecznego związku między jednemi a drugiemi Tymczasem fakt tak pospolity i oczywisty, jak istnienie różnych języków, przekonać nas może o tem, że związek między rzeczą a nazwą (wyjąwszy pewne szczególne wypadki, jak naprz. nazwy onomatopeiczne: bęben, syk, mamrotać...) jest tylko empiryczny, że nazwa w ten czy inny sposób przywarła tylko do rzeczy. Oczywista, że nim powstanie pewna nazwa, musi istnieć owa rzecz, której tę nazwę przydzielamy. Ale w samej chwili swego powstania nazwa rozpoczyna, byt psychicznie niezależny od wyobrażenia o rzeczy.

Podczas gdy jeszcze u dziecka wyobrażenia językowe mają ścisły związek z pełnią intuicyjną wyobrażeń rzeczowych, u nas rzecz się ma inaczej. Przecież wartość społeczna znaku językowego polega właśnie na tem, aby nie odwoływać się stale do wyobrażeń, wchłaniających całkowite natężenie energji psychicznej, tak samo jak posiadacze znaków pieniężnych nie mają potrzeby wszędzie wlec za sobą takich wcieleń pracy społecznie użytecznej, jak korce żyta, sztuki tkanin, traktory i kamienice i wymieniać ich bezpośrednio jedno na drugie. Gdybyśmy nasze myślenie językowe chcieli obarczyć całkowitą pełnią psychiczną zaznaczanych w nim wyobrażeń, zwarjowalibyśmy poprostu: najsolidniejszy bank państwa zbankrutuje, jeśli nagle wszyscy posiadacze banknotów zgłoszą żądanie pełnowartościowego pokrycia.

Nic też dziwnego, że w tym olbrzymim obiegu znaków językowych znajdzie się niejeden fałszywy, bez żadnego pokrycia, który od czasu doskonale wywiązuje się ze swych czynności obiegowych.

Zapytajmy naprzykład najgorliwszego wyznawcę jakiejś religji monoteistycznej, co to znaczy „Bóg". W odpowiedzi usłyszymy określenie sprzeczne, świadczące o tem, że nazwa ta reprezentuje w umyśle naszego rozmówcy pewną próżnię logiczną. Mimo to jakże często słowem tem wzrusza, karci, porywa. Jakże się to dzieje?

§ 3. Język nie jest czynnością wyłącznie logiczną. Przeciwnie, rozpatrując jego rozwój zarówno filogenetyczny jako funkcji społecznej, jak też ontogenetyczny — w każdem dziecku, widzimy, że jest to przejaw naszych *uczuć*, wtórnie zastosowany jako znak pojęć i wyobrażeń w obcowaniu społecznem.

Wyobrażenia językowe mają własne związki i skojarzenia z życiem emocjonalnem człowieka, które się niewątpliwie wytwarzają na tle stosunku uczuciowego do rzeczy i pojęć, ale z chwilą powstania autonomji psychicznej nazwy, przejmuje ona we własny zarząd drogi połączenia z ośrodkami uczuciowemi.

Weźmy przykład z innej dziedziny. Robotnik umie sobie doskonale uświadomić, co go związało z czerwonym sztandarem. Wie, że to znak tylko, że to symbol walki, która jest najistotniejszą treścią jego życia, najpotężniejszym źródłem wzruszeń; wartość tego znaku polega na tem, że przypomina o krwi przelanej w walce o wyzwolenie proletarjatu. I czy sam widok czerwonego sztandaru nie wzrusza go do głębi, nie przyśpiesza obiegu krwi w jego żyłach, choćby się miało potem okazać, że to inne, wrogie, bratobójcze dłonie, chwyciły za drzewce

że hasła owe na tej bojowej czerwieni wypisała demagogja, obłuda i zdrada.

§ 4. Przykład powyższy jest zarazem jaskrawym obrazem mistyfikacji uczuć przy pomocy nadużycia znaku, posiadającego własną wartość uczuciową.

A wszak język jest jednym ze społecznie ustalonych systemów oznaczania i każdy znak tego systemu posiada mniej lub więcej wyraźny odcień uczuciowy. Widzimy teraz, jakie niesłychane możliwości mistyfikacji daje posługiwanie się tym systemem. Przemycanie najsprzeczniejszych z rzeczywistemi potrzebami tendencji i tradycji, ukrywanie najbezczelniejszych kłamstw burżuazyjnej kultury i polityki staje się możliwe w znacznej mierze dzięki umiejętności posługiwaniu się aparatem językowym.

Bóg, ojczyzna, naród, przewrót moralny, czyste ręce — ileż to pracy wkładają kierownicy i mandatarjusze społeczeństwa burżuazyjnego, żeby wytworzyć podkład dla dodatniej reakcji uczuciowej na te słowa, jak umiejętnie wyzyskują istniejące już skojarzenia i usposobienia (przewrót! moralność!), jak misternie wytwarzają złudne więzy między temi słowami a rzeczywistością!

Szpicel, prowokator — z jaką artystyczną łatwością operują ludzie z najgorszych zakamarków defenzywy wstrętnym tonem uczuciowym tych słów, gdy chodzi o oplucie i sponiewieranie nieposzlakowanego przeciwnika.

Że burżuazja nietylko drogą tłumienia słowa opozycyjnego, nietylko drogą zapewnienia sobie panowania w innych dziedzinach kultury osiąga przewagę na polu językowem, na to wskazywaliśmy mówiąc o genezie klasowej języka literackiego. Formy tej przewagi postaramy się wskazać szczegółowiej w dalszym ciągu niniejszego szkicu, wyświetlając w pierwszym rzędzie ich powstanie.

S. Bur.



SZARZYZNA

Szaro, nudno, bezmyślnie w literaturze polskiej i w teatrze. Realizacja przez tyle pokoleń wymarzonego państwa polskiego przyniosła nie rozkwit umysłowości polskiej, lecz szare uśpienie.

Musi to mieć swoje przyczyny.

Polska położona jest na rubieży dwuch światów. Walka klasowa, przeciwieństwa klasowe są u nas niezwykle ostre — nietylko ze względu na układ stosunków wenętrznych, lecz także z powodu olbrzymiego nacisku zzewątrz, wywieranego przez dwa światy, ścierające się ze sobą na terenie Polski. Każde starcie klasowe w Polsce budzi natychmiast zainteresowanie światowe. Polska burżuazyjna jest prawdziwą twierdzą kresową kapitalizmu światowego. Zapewnia to burżuazji polskiej wydatną pomoc, jednocześnie wszakże czyni z Polski kraj zbyt niepewny z kapitalistycznego punktu widzenia, aby można było zagospodarować się w nim spokojnie i na długą metę. — Wszystko to razem nadaje dzisiejszemu życiu polskiemu — zarówno gospodarczemu, jak kulturalnemu — szczególne znamiona tymczasowości. Brak perspektyw, chwiejność, niewiara w możliwość osiągnięcia zdobyczy trwałych, nastrój gorączkowego bronienia się przed czemś co odczuwane jest jako rzecz najbardziej nienawistna i jednocześnie, coraz fatalniej nieuniknona.

Sztuka wogóle, a literatura w szczególności nie może istnieć bez określonej postawy wobec najważniejszych zagadnień życia społecznego. Niema pisarza, którego na podstawie jego utworów nie możnaby zaliczyć do takiego lub innego obozu społecznego — choćby nawet głosił bezwzględną obojętność na te zagadnienia. Aspołeczne nastroje mistyczne są zwykle tylko pewną formą protestu przeciwko rzeczom niemiłym w życiu społecznem, są próbą ucieczki od życia społecznego, które mistyka razi dla takich lub innych powodów.

Były dwa wielkie okresy w literaturze polskiej wieku dziewiętnastego: — jeden — to wielcy romantycy, drugi — to ostatnie parę dziesiątków lat przed wojną, czasy Sienkiewicza i Żeromskiego.

Wielcy romantycy wyszli z tej szczególnie polskiej odmiany drobnomieszczaństwa, które było właściwie przeniesioną do miasta warcholsko radykalizującą, czepiającą się „nowinek", uboższą częścią starej szlachty polskiej. Żaden z wielkich romantyków nie targnął się nigdy na świętość dworku szlacheckiego; a był między romantykami i pan na bardzo wielu chłopach. Ci synowie szlacheccy przekształcali się właśnie na urzędniczą inteligencję miejską, lub szykowali się do obejmowania stanowisk dyplomatycznych, kiedy carat wymierzył im brutalne uderzenie pałką po głowie.

Atak caratu był zresztą wyrazem dążeń kapitalizmu nowoczesnego, wypowiadającego ostrą walkę drobnomieszczańsko-prowincjonalnym metodom gospodarowania. Powstanie listopadowe, z którego wyprowadza się cała romantyczna litertura polska, zgoła nie reprezentowało nowoczesnej demokracji kapitalistycznej w walce z feodalizmem carskim. Miało ono charakter szlachecko-pańszczyźniany. Kapitalizm zaś przyszedł do Kon-

gresówki nie z zachodu, nie w szatach demokracji kapitalistycznej, lecz ze wschodu, w półazjatyckich szatach samodzierżawnych. Pomimo tych szat samodzierżawnych zwycięstwo caratu było zwycięstwem nowoczesnych kapitalistycznych form gospodarowania i to właśnie nadawało szczególnie beznadziejny tragizm powstaniu polskiemu i jego emigracji. Ta beznadziejność i brak gruntu pod nogami prowadziły wprost w pozaświatową pustkę mistycyzmu, ujmowanego przez romantyków polskich całkiem na serjo — w przeciwstawieniu do romantyków zachodnio-europejskich, dla których mistycyzm był tylko frazesem literackim.

Po klęsce powstania masowo oderwano rodzącą się dopiero polską inteligencję mieszczańską od ziemi i społeczeństwa ojczystego i przeniesiono ją w bujne wówczas środowisko zachodnio-europejskie, gdzie właśnie wówczas jej siostrzyca — inteligencja mieszczańska krajów europejskich — święciła największe triumfy. Proletarjat obudził się już był wówczas do życia, ale jeszcze sam w swojem własnem imieniu nie mówił. Był—według terminologji Marksa—klasą samą w sobie, ale jeszcze nie był klasą dla siebie. Mówili za niego inni. Myśliciele mieszczańscy układali dla niego utopje przebudowy społecznej, a poeci mieszczańscy z jego walk czerpali swój radykalizm i żarem proletarjackim ożywiali mdłe frazesy swej czułostkowości lub swego mistycyzmu.

W takie środowisko wpadli wysadzeni z siodła inteligenci polscy po roku 31. Utrata państwa własnego, pozbawienie stanowisk inteligenckich na ziemi ojczystej, ruina majątkowa mnóstwa rodzin szlacheckich — wszystko to łączyło się dla nich z narodzinami nowoczesnych państw kapitalistycznych. Stąd ich spiskowanie polityczne, ich tęsknota do wielkiego przewrotu stosunków europejskich, do przewrotu, którego głównem zadaniem byłoby rozbicie mocarstw rozbiorowych. Te uczucia emigracyjne porwane zostały przez mocny prąd tętniącej życiem, zapładnianej przez proletarjat, europejskiej inteligencji drobnomieszczańskiej i wydały to jedyne w swoim rodzaju zjawisko, które nazywa się romantyzmem polskim. Jego rewolucyjność była wielkiem nieporozumieniem: romantycy polscy czepiali się europejskiego ruchu robotniczego, bo mieli nadzieję, że odrodzi on ich szlachecką ojczyznę.

Wszystko to działo się w czasach kiedy drobnomieszczaństwo — choć żyjące zawsze tylko pożyczanem życiem księżycowem — było bardzo ruchliwe i miało przed sobą jeszcze wiele kart do napisania.

Druga fala wielkiej literatury polskiej, której wyrazem najpełniejszym jest Żeromski, przyszła w warunkach społecznie podobnych. Było to w okolicach roku 1905 — przed i po tym pamiętnym roku pierwszego wielkiego poruszenia mas pracujących. Stająca się burżuazja szlachta polska do cna już zlikwidowała marzenia z roku 63, albo też — jako czysta burżuazja, świeżo zrodzona pod opiekuńczemi skrzydłami caratu — zupełnie obca była tym marzeniom. Państwo rosyjskie było dla niej i wielkim rynkiem zbytu i niewiele co gorszym od innych państw obrońcą interesów burżuazyjnych przed masami pracującemi. O walce z caratem, burżuazja polska zgoła

nie myślała; — szło jej jedynie o pewne zmodernizowanie caratu, o uwolnienie się od biurokracji autokratycznej. Ograniczona autonomja dla Królestwa i prawo rozprawiania się na własną rękę z broniącymi się przed wyzyskiem robotnikami polskimi zupełnie jej do szczęścia wystarczały. Przed rokiem 1905 sojusz burżuazji polskiej z caratem był niewyraźny, jakby wstydliwy, po roku 1905—kiedy w walkach z klasą robotniczą burżuazja polska cynicznie uświadamia sobie swe stanowisko społeczne — sojusz ten przybiera nawet formy manifestacyjne i burżuazja polska wydaje w ręce żandarmów cesarskich zarówno esdeków, jak bojowców z PPS.

Literackim wyrazem tej zupełnej likwidacji dążeń niepodległościowych, a także godzenia tradycyj szlacheckich z ideologją burżuazji nowoczesnej był Henryk Sienkiewicz. Odwrócić uwagę mas czytających od najważniejszych zagadnień społecznych, wytworzyć zasłonę ideologiczną, poza którą burżuazja mogłaby niepostrzeżenie skonsolidować się, rozpalić wyobraźnię młodzieży bohaterstwem o tendencjach wybitnie klasowo-szlacheckich i napełnić ją wstrętem do zbuntowanego chłopstwa — oto zadania polityczne „Trylogji". Pamiętajmy, że „Trylogja" drukowana była w organie ugodowców ówczesnych, w „Słowie", cenzura zaś — było to w czasach Hurki i Apuchtina — nie skreśliła ani jednego zdania. Naturalną konsekwencją „Trylogji" był Połaniecki — apologja płaskiego dorobkiewicza.

Zjawiska takie jak Reymont, Kasprowicz, Wyspiański wymagają właściwie specjalnego omówienia. Reymont po raz pierwszy w Polsce burżuazyjnej jął opiewać chłopów. Są to jednak nie chłopi, śmiałą dłonią sięgający po życie nowe, lecz chłopi całkowicie starzy, na których tężyźnie pierwotnej chciała i chce się oprzeć burżuazja w swej walce z masami pracującemi. Chłopa tego można było wyśpiewać tylko w czasach przedwojennych i tylko w Kongresówce, gdzie nie brał on jeszcze czynnego udziału w życiu społeczno-politycznem. Z chwilą wystąpienia na widownię polityczną przybiera on wstrętną postać witosikowego karjerowicza i dorobkiewicza, a wtedy staje się — z literackiego punktu widzenia — tematem niemożliwym dla apologetycznego traktowania. Chłop Kasprowicz miał inne koleje. Przeżarła go do cna kultura burżuazyjna: z chłopskiej tężyzny, z chłopskich mocnych muskułów zrodził się mistycyzm, śpiewający hymny pogrzebowe ginącemu światu; — zresztą mistycyzm bez wiary, pełen zgniłego sceptycyzmu, przeświadczony o nieuleczalnej — moralnej i fizycznej — nędzy tego świata i zgoła nie wierzący w jakiebądź światy inne. Wyspiański wreszcie — to piwniczno - grobowcowa roślina podwawelskiego ghetta polskiego, oddzielonego kordonem granicznym od wstrząsających Kongresówką rewolucyjnych prądów społecznych, i szlachecko - romantyczno - średniowiecznemi przesądami, niby wałem trumiennej zgnilizny, od walk i myśli zachodnio - europejskiej.

Jako wyraz całkowicie świadomej siebie ideologji burżuazyjnej pozostaje więc Henryk Sienkiewicz. Ale to prowadziło tylko ku Połanieckim,

wywołującym wstręt w budzącej się do życia i coraz liczniejszej drobnomieszczańskiej inteligencji polskiej.

Inteligencja drobnomieszczańska w całem państwie carów ma wówczas tysiące powodów do skrajnego niezadowolenia. Rząd carski opierał się przecie przedewszystkiem na obszarnictwie i na wielkich przemysłowcach. Inteligencja polska, żywo odczuwająca na sobie nacjonalistyczną politykę carską, odsunięta od stanowisk rządowych, miała jeszcze więcej, niż inteligencja rosyjska, powodów do skrajnego przeciwstawiania się caratowi. Na tem tle z żywiołową siłą wybuchają — właściwe tylko zaborowi rosyjskiemu — dążenia republikańsko - niepodległościowe.

Ale drobnomieszczaństwo nie jest przecie zdolne do samodzielnych ruchów społecznych. Pisarze drobnomieszczańscy, zamykający się w swojem własnem środowisku, mogą tylko majaczyć mistycznie, lub też — realistycznie zachowawczo (Reymont) opiewać tego chłopa, na którym chce się oprzeć burżuazja. Twórcza siła społeczna tętniła tylko w proletarjacie. Tam więc, jak do źródła, zwracają się tęsknoty zarówno polityków, jak literatów drobnomieszczaństwa. W takich warunkach powstaje ta jedyna w swoim rodzaju mieszanina marksizmu, romantyzmu, szlachetczyzny i najspolitszego kołtuństwa drobnomieszczańskiego, która nosi historyczną nazwę PPS. Tutaj także rodzi się nowoczesna niepodległościowa literatura polska, której przedstawicielem najprzedniejszym jest Żeromski.

Jak u wielkich romantyków, energją rzeczywiście czynną — choć pod imieniem własnem nie występującą na scenę — była rewolucyjna energja proletarjatu. Podejrzewanie lub insynuowanie tej literaturze dążeń i sympatji rewolucyjnych wywołało nienawiść i protesty ze strony burżuazji i gorący entuzjazm ze strony robotników, względnie ze strony drobnomieszczaństwa, które pod wpływem wykrzykników lub tęsknot ku jakiejś bliżej nieokreślonej wielkiej przemianie społecznej samo nabierało rumieńców i przeżywało radosne złudzenia, że jest warstwą czynną, zdolną do walki, mającą naprawdę jakieś ideały górne i chmurne.

To, co Żeromskiego ożywia, co twórczości jego nadaje szczególny, ostry smak społeczny—to płynący przez niego, choć wbrew jego woli i niemal poza świadomością—żywy prąd walki klasowej. Rewolucja społeczna, jako coś wytęsknionego, groźnego lub nienawistnego, przeziera poprzez wszystkie utwory Żeromskiego. Niekiedy zdaje się on niemal śpiewać na jej cześć, innym znowu razem lży ją, lub trwożnie kryje przed nią głowę w zaduchy mistyczne. Bez wiszącej w powietrzu, bez nadciągającej rewolucji twórczość Żeromskiego byłaby pozbawiona mówiąc językiem twórczości tej właściwym — duszy.

Oczywiście postawa Żeromskiego wobec rewolucji jest zupełnie inna, niż postawa robotnika lub chłopa, dla którego rewolucja jest czemś poprostu gorąco upragnionem, ku czemu dążyć wszelkiemi środkami każdy nietylko może, ale i powinien. Żeromski przybiera wobec rewolucji taką samą postawę, jak wobec zagadnień erotycznych. Miłość jego bohaterów nie jest prostem i zdrowem pragnieniem gorącem. Jest w niej zawsze coś

z perwersji. Miłość ta zawsze jest grzechem, a często przekleństwem. — Postawa Żeromskiego wobec rewolucji — to dzieje jego własnego grzechu, to dzieje pierworodnego grzechu drobnomieszczaństwa. Pragnie on jej i nienawidzi jednocześnie; jest ona koniecznością i przekleństwem, najwyższym dopustem bożym. Przychodzi, przyjść musi nie jak wyzwolenie radosne, lecz jak nieunikniona kara boża za jakoweś ciężkie, bardzo ciężkie przewinienia.

Nie proletarjusz mówi przez niego o rewolucji, lecz właśnie drobnomieszczanin, inteligent drobnomieszczański, który zbyt nienawidzi caratu i wszystkich jego sług, aby mógł nie szukać przeciwko nim oparcia, ale jednocześnie jest zbyt słaby i zbyt związany ze starym ładem burżuazyjnym aby nie czuć lęku przed rewolucją proletarjacką i aby lęku tego nie odziewać w szaty obrazy moralnej.

Żeromski — to dusza przedwojennego inteligenta polskiego z zaboru rosyjskiego. Tradycje niepodległości szlacheckiej, tęsknota ku sile proletarjackiej i lęk przed tą siłą, polska literatura romantyczna, Dostojewski i literatura opozycyjnej inteligencji rosyjskiej, bardzo powierzchowne, broszurkowe czytanie w zagadnieniach społecznych, idjosynkrazja ku imaginacyjnemu potworkowi, nazwanemu „suchym badylem marksizmu" — oto składowe części tej duszy, obdarzonej niezwykłą wrażliwością, wprost zmuszonej do odtwarzania rzeczy, często dla niej samej strasznych lub potwornych.

Przez Żeromskiego śpiewa nadciągająca burza rewolucyjna. Ale Żeromski daleki jest od tych, którzy o rewolucję walczą, który ją robią. Proletarjat rewolucyjny jest już na scenie i działa przemożnie, ale sam o sobie pieśni jeszcze nie śpiewa. Ani pieśni kunsztownych jeszcze składać nie umie, ani czasu na nie niema, cały zaabsorbowany walką bezpośrednią. Śpiewa natomiast, bardzo obficie i głośno śpiewa drobnomieszczaństwo, które odżywia się duchowo przez ocieranie się o proletarjat. Prosta i jasna walka proletarjacka, przeszedłszy przez pełną załamań wewnętrznych i sprzeczności duszę drobnomieszczańską, staje się mistycznym, niepojętym tragizmem dziejowym, staje się grzechem i pokusą szatańską. Inteligent drobnomieszczański, postawiony w obliczu rewolucji, wije się w prochu, jak wobec swej własnej winy; pragnie rewolucji, tęskni ku niej i boi się jej, jak mistycznego grzechu śmiertelnego.

Inteligent drobnomieszczański, którego Żeromski był wieszczem i wyrazem, choć śmiertelnie bał się proletarjatu i jego ruchów, nie zrywał z nim jednak, bo czuł, że ten groźny i tak niepojęty proletarjat — to jedyne życie biednego inteligenta, to jedyna siła, ku której inteligent zwracał się z modlitwą o lepsze jutro, o życie duchowe, o odbudowanie mu niepodległego państwa burżuazyjnego.

Wszystko to było przed wojną i to właśnie dawało siły i wielkość przedwojennej literaturze polskiej.

Sienkiewicz był jawnie burżuazyjnem przeciwstawieniem się temu.

Ale cóż z Sienkiewicza i Żeromskiego mogło pozostać, po spełnieniu się marzeń, które tak niedawno wydawały się najbardziej niezniszczalnemi?

O dalszym ciągu pieśni sienkiewiczowskiej nie może już być mowy. Od biedy można było wyśpiewać Połanieckiego, gdy go jeszcze w całej okazałości nie było na scenie, ale niepodobna przecie śpiewać Korfantych, Hamerlingów i Lindych. Czyż można śpiewać opasłych szlagonów, dorabiających się na wysokich cenach zboża i zagładzających własnych fornali? Czy można śpiewać generałów, obwieszczonych orderami i siedących na rentownych majątkach, nabytych za obronę ojczyzny przed zalewem bolszewickim.

Boryna należy teraz do orszaku dorobkiewiczów witosowych. Synów i krewniaków poumieszczał na wysoko płatnych stanowiskach państwowych i marzy tylko o tem, jak przerzucić wszystkie ciężary na barki robotników i biedoty wiejskiej.

A pokolenie Żeromskiego?

Prysła cała tylu barwami mieniąca się ideologja romantyczna. Wyrosło wprawdzie państwo wymarzone, ale ani warunki jego powstania, ani jego treść wewnętrzna zgoła nie odpowiadają założeniom tej ideologji. Pomimo pozornej realizacji marzeń, pomimo pozornego spełnienia się proroctw, wszystko przyszło tak nieoczekiwanie i tak dziwnemi dla romantyków drogami, że myśl romantyczna zawisła w próżni, bez jakiegobądź punktu zaczepienia. Z powodu zupełnego niezrozumienia sił działających, z powodu tego, że żeromszczyzna nie rozumiała, rozumieć nie mogła swej własnej treści, musiała stanąć oko w oko z rzeczami tak strasznemi, że zamarła w niemem przerażeniu.

Gdy majacząca rewolucją żeromszczyzna zobaczyła twarz rewolucyjnej rzeczywistości, zlękła się śmiertelnie i, przekreślając całą swą przeszłość, zdecydowała odrazu: raczej z Sienkiewiczem, ze szlachtą polską i z kościołem katolickim, niż z tymi zbójami. Drobnomieszczańska dusza inteligenta ujawniła swą zasadniczo burżuazyjną treść. Odgraniczyła się od proletarjatu i przez to postradała nawet to pozorne życie, które miała dotychczas. Pozostały jej panegiryki na cześć burżuazyjnych mężów opatrznościowych, plotkarskie opowiadania o złodziejstwach jakichś generałów, wyszarzana erotyka no i paszkwile, paszkwile, paszkwile na rewolucyjny ruch robotniczy.

Sam Żeromski zaś — genjalny wieszcz drobnomieszczańskiego narodu inteligentów burżuazyjnych — dośpiewał swoją pieśń do końca. Ten wielki artysta niemal do ostatnich chwil życia zachował wrażliwość artystyczną, dźwięczał, jak cudowny detektor, odśpiewujący przechodzące nad Polską fale dziejowe. Nie rozumiał, niezdolny był rozumieć potężnego wiatru od wschodu, ale wiernie spełniał swą misję artystyczną i sygnalizował ten wiatr w taki sposób, na jaki go stać było. Zakończył dzieło swego życia sceną najbardziej tragiczną, jaką pomyśleć może polski inteligent burżuazyjny: wojsko polskie, wymierzające szereg luf karabinowych w piersi robotników polskich.

Tem wielkiem, tragicznem zapytaniem zakończył Żeromski pieśń ży-

cia swego. Więcej nie miał już nic do powiedzenia. Spojrzeć dalej w przyszłość było już ponad siły całej jego klasy.

Burżuazja polska, będąca dalszym ciągiem szlachty polskiej, po raz ostatni zabrała głos przez usta Sienkiewicza. Żeromski do ostatecznego końca, do ostatnich najbardziej beznadziejnych konsekwencyj dośpiewał pieśń drobnomieszczańskiego inteligenta polskiego, który zamarł w tragicznym znaku zapytania, stwierdzając, że życiem własnem nie żył właściwie nigdy. Pozostała szara pustka, którą licznemi tomami, zasypują przeważnie ludzie, nie mający nic nikomu do powiedzenia.

Czy to znaczy, że zamarło słowo, mówione po polsku? Ależ bynajmniej.

Kiedy zaś Polska znowu mocno mówić zacznie, będą to już słowa, płynące nie ze szlachcica, nie z burżuja i nie z drobnomieszczańskiego inteligenta, lecz z chłopa i z robotnika polskiego, który zabierze głos sam, w swem własnem imieniu, jako suwerenny słowa polskiego przedstawiciel. A mowa jego będzie zupełnie odmienna od wszystkiego, co przez całe polskie dzieje dotychczasowe mówiła szlachta, a potem burżuazja polska.

Jan Hempel.

TERAŹNIEJSZOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ

(Artykuł informacyjny napisany specjalnie dla naszego pisma).

Do inteligencji.

Nigdy dotychczas — co jest logiczne — nie namnożyło się tylu manifestów literackich i odezw do inteligencji, co obecnie.

Mimo wszystko jednak, mimo żeśmy zatopieni w powodzi owych świstków i ogłuszeni tą kakofonią — a może właśnie dlatego — ogłaszamy z kolei nasze wezwanie, ponad głowami innych.

A więc, przedewszystkiem, czem jesteśmy obecnie? Żyjemy w epoce olbrzymiego materjalnego postępu, a jednocześnie bankructwa; w epoce rozkładu, w epoce, która jest końcem pewnego okresu cywilizacji.

Sztukę i literaturę czuć dekadencją, jak wszystko inne. Przytoczę tu jedynie tytuły rozdziałów nazbyt wielkiego rekwizytorjum, które się samo przez się rozrasta, — obfitość lecz i chaos, kult szczegółów i subtelności, kwintesencjonalne analizy, niezręczne i pełne luk syntezy, sprzeczności, odnawianie starych przesądów — nieuctwo, zamęt, bezład. A także, objektywnie, merkantylizm, brutalność reklamy, pozostającej w rękach potęg pieniężnych, sztucznie rozdęte sławy, wywieszone na krzyczącym szyldzie i narzucone odbiorcom, jak wyroby kosmetyczne. Eksploatacja na sposób amerykański i ciężka ręka przedsiębiorców handlowych, spoczywająca nietylko na książce, ale na wszystkiem, co może być dla publiczności realizacją artystyczną: na teatrze, music-hall'u, kinie, radio.

Pośród tego wszystkiego — zostajemy przy literaturze — pojawiają się mniej lub więcej samotne próby odnowy, lecz wypaczone często w karykaturę, kontentują się skandalem. Niektóre z tych poczynań pochodzące od młodych artystów pełnych talentu i znajomości literackiego rzemiosła, nie pozbawione zaś ani wagi, ani znaczenia: zasługą ich jest dyskredytowanie starych szkolarskich reguł i przebrzmiałych formuł. Lecz, jak dotychczas, zajmują się one jedynie formą i nie wykraczają poza kwestję odnowienia sposobu ekspresji — muszli słów, jeżeli można tak powiedzieć.

Co się tyczy ogólnego stanu umysłów braci inteligenckiej — niepewność, chwiejność, poszukiwania, niepokój. Niepokój jest reakcją organiczną, kolką dekadencji. Ci, którzy myślą i usiłują spojrzeć nieco poza sprawy najbliższe, są niespokojni. Szuka się dróg, szuka się nowego. Wszyscy czują, że zbiera się na odmianę. Lecz nie każdy może ją zrozumieć.

Zasady marksizmu pozwalają nam zorjentować się w zamęcie naszej przejściowej epoki, sięgnąć do przyczyn i skonstatować, że jest on najzupełnej logicznym wynikiem naturalnego biegu rzeczy. Taż sama doktryna pozwoli nam wyznaczyć ideologji jej rolę i wagę oraz połączyć w dokładnem oświetleniu niespokojnych i szukających.

Ideologja nie stanowi — jest to naszą pierwszą zasadą — oddzielnej, odrębnej dziedziny, czegoś nakształt raju wyśnionego przez artystę. Ideologja winna stanowić jeden organizm z ewolucją histoczną. Człowiek wyraża siebie i swoje otoczenie przy pomocy języka, doktryny, sztuki, według określonych reguł tych samych dla idei dzieł twórczych i rzeczy. Niema dwóch prawd, teoretycznej i praktycznej: istnieje jedna tylko prawda. Chodzi o to, aby jej nie rozoijać w abstrakcji: każdej idei powinna odpowiadać jakaś rzeczywistość, inaczej staje się ona słowem bez treści.

Nowa sztuka i nowy ustrój.

Wypowiadając się, człowiek ustala i buduje. Sztuka i najogólniej wzięte słowo i pismo są instrumentami realizacji, są olbrzymiemi narzędziami w ręku ludzi. Nowa sztuka przyjmuje więc, jako podstawę nowe charakteryzujące stadjum ewolucji historycznej. Ale nie należy twierdzić, jak to się często zdarza, że niema nic do roboty, póki nie powstanie nowy ustrój. Idea kroczy przodem. Zakreśla ona perspektywy, wytycza drogi, porusza i przerabia uczucia, buduje i spycha z miejsca, albo wzmacnia przekonania. Przynosi jasność i pewność. Taki jest sens istotny naszego materjalizmu literackiego i artystycznego (terminu tego użyła, jeśli nie mylę, Henryka Roland Holst).

Zgodnie z tem, nie uważamy, że ideologja powinna kierować faktami. Teza rzekomej *elity* rządzącej, arystokracji i autokracji myślicieli, nie ma żadnego uzasadnienia. Jest to naiwny bluff. Przywódca, prowadzący tłum, musi wyjść z tego tłumu, lub z jakiejś jego części.

Oto nasze stanowisko: przystosować się do impulsu faktów realnych, do logicznej doktryny, zdając sobie sprawę z analogji i ich powiązań. Zdać sobie sprawę z rzeczywistości, to znaczy być jej posłusznym, a nie przełamywać ją przy pomocy formułek, albo urojeń. Stosujemy do całokształtu życia zbiorowego i do jego idealnego wyrazu, piękna, lapidarną zasadę stoików wobec bóstwa: „Nie jestem posłuszny bogu, tylko się z nim zgadzam".

Jednostka i „człowiek w społeczeństwie".

Rozumie się samo przez się, że interesuje nas przedewszystkiem człowiek w społeczeństwie, nie zaś człowiek, jako taki (co jest fikcją), nie jako jednostka.

Należy to jasno zdefinjować i z całą siłą ustalić.

Jednostka nie jest fikcją. Przeciwnie, jest to istotna komórka ludzkości. Nie przeczymy wcale walnemu znaczeniu jednostki. Nie zaprzeczał mu też Karol Marks, jak to mu lekkomyślnie zarzucają, ci, którzy nie obznajmili się z nim dostatecznie. Każdy z nas jest, jeżeli można tak powiedzieć — podwójny: jest jednością i jednostką, przez swój własny specyficzny bagaż, przez swoje kryzysy indywidualne, przez swoje własne stanowisko w odwiecznym dramacie życia.

Każdy z nas jest też jednocześnie integralną częścią powszechności socjalnej, kroplą tłumu, cyfrą w zbiorowości; a zbiorowość jest sama przez się organizmem. Istnieje, jak mówili starożytni, człowiek zewnętrzny i człowiek wewnętrzny.

Nie rozwiązuje się tej głębokiej antynomji ludzkiej, usuwając — raczej udając, że się usuwa — jeden z rzeczonych elementów, gdyż oba one istnieją w praktycznej rzeczywistości. Jeżeli sztucznie rozerwie się indywidualizm i objektywizm społeczny, pierwszy z nich schodzi na bezdroża, drugi zastyga w martwocie; pozostają tylko mgławicowe abstrakcje, ulubione przez poetów, tych dyktatorów fantazji.

W chwili obecnej jednostka interesuje nas mniej, niż zbiorowość, porzucamy ją aby poświęcić się zbiorowości.

Jednostka, wypadek sporadyczny, prywatna przygoda, panowały dotychczas w literaturze i sztuce. Jeżeli nie można twierdzić, że wszystko zostało powiedziane na ten temat — nie możemy bowiem przewidzieć ewentualnych arcydzieł — pewne jest, że powiedziano, powtórzono i przeżuto

wszystko zasadnicze w tym względzie. A teraz chcemy spojrzeć gdzieindziej.

Przestańmy się kręcić w kółko dokoła indywidualnych myśli i uczuć i upierać się przy zdobywaniu muru prywatnego życia. Należy pozostawić na stronie, choćby na czas pewien, wypadki niezwykłe, rozmyślania samotne, analizy dośrodkowe, sprawy prywatne pana X., albo pani Y., moje, albo twoje.

Należy wstąpić do dziedziny zespołu.

Wszystko nas tam popycha. Przedewszystkiem rozwój ekonomiczny i historyczny, który wyznacza zbiorowości coraz rozleglejszą rolę, który nadaje piętno, a nawet formę przyszłości.

Lecz nie chodzi tylko o przystosowanie się do palących i olbrzymich wymagań społecznych. Na tej drodze istnieje postęp, ciągłe zdobywanie nowych wartości, nieustanna twórczość — czego nie daje indywidualistyczne dreptanie na miejscu, odwieczne jednostkowe rozpoczynanie na nowo. To jedno powinnoby zadecydować o wyborze drogi dla tych, którzy mają w myślach i w sercu dążenie do wykonania w życiu istotnej pracy.

W tym więc kierunku: stosunków ludzi między sobą, obowiązek nakazuje nam zwrócić się obecnie.

Nie wpadniemy jednak w drugą „ostateczność", która polegałaby na traktowaniu czy to człowieka w społeczeństwie, czy też zbiorowości, jako rzeczy samej w sobie, jako istności metafizycznej. Sofistyczni przeciwnicy marksizmu, a czasem też i niezręczni marksiści, usiłują przetworzyć materjalizm historyczny i ekonomiczny, na materjalizm najzwyklejszy i najprostszy i patrzą na „objektywizm dogmatyczny", jak na mechanizm, poruszający się niezależnie od wszelkiego oddziaływania indywidualnego, czy jakiegokolwiek czynu psychologicznego. Jest to zdrada myśli marksowskiej nadużycie słowa „materjalizm" i zapoznanie giętkości i żywotności realizmu marksowskiego, który ze względu na swoją rozległość mniej zasługuje na nazwę doktryny, niż na określenie nowego stanu umysłów, nowej metody orjentacji wśród sił twórczych, sharmonizowanych z życiem, logiką, przyrodą i nauką.

Gdyby zjawiska ekonomiczne rozwijały się w sposób wyłączny i nieunikniony na terenie materjalnym, stawałyby się one same przez się, wszystkie istniejące sytuacje zyskiwałyby stopniowo uzasadnienie i byłoby czczą demagogją nawoływanie proletarjatu, aby zmienił bieg rzeczy, targając własne łańcuchy. A jednak do tego właśnie trzeba go wzywać.

Ten wąski determinizm zahypnotyzował szkołę bernsteinowską i doprowadził ją do szczególnego oportunizmu socjalistycznego, który pociągnął za sobą cały szereg ustępstw.

Zjawiska historyczne posłuszne są pewnym prawom, jak wszystkie zjawiska. To nie znaczy, że dzieją się one automatycznie. Człowiek potrafi je opanować, jak potrafi opanować żywioły i ująć w łożyska rzeki, które podlegają przecie prawom fizycznym. Istnienie ludzi na ziemi podlega fatalizmowi tylko o tyle, o ile ludzie nie zdają sobie z niego sprawy. Na tem polega sens propagandy, która jest tylko jasnem wtajemniczeniem. Ażeby zreasumować powyższe, powiem, że musimy patrzeć na człowieka, jako na jednostkę społeczną.

Koncepcja owa, która w połowie XIX w. rzuciła podwaliny współczesnego socjalizmu, podobnie, jak to uczynił Bacon dla nauki, a Kant, olbrzym myśli, dla całej filozofji; koncepcja owa jest bogata i płodna. Wyłącza ona „rzecz samą w sobie", kontroluje walory definicji i tradycji, ni-

szczy przesądy i widma, zastępuje „ideał" sentymentalny i mglisty, ideał baśniowy — celem ostatecznym na podłożu naukowem. Zlewa i godzi abstrakcję z rzeczywistością.

Ma za sobą siły organiczne zbiorowości ludzkiej. Idzie na spotkanie potęgom naturalnym. Jest głosem i dreszczem morskiego przypływu.

Dzięki temu, można powiedzieć, że materjalizm dziejowy jest o wiele głębiej idealistyczny, niż uroczyste utopje rycerzy i apostołów czysto słownego ideału.

Z tych przyczyn człowiek uczciwy i chcący uczciwie myśleć, winien— przynajmniej w stosunku do czasów, które nadchodzą — wyrwać siebie bezcelowy kult jednostki i skierować swój wzrok na sprawę *wszystkich*.

Dwie organizacje Międzynarodowe.

Nasza metoda, racjonalna, naukowa, rzucająca ostre światło na współczesny rozwój historyczny oraz towarzyszyszące mu ideje i idejki, pozwala dokładnie rozejrzeć się we wszystkiem i rozróżnić, jak to już powiedziałem — motory działania, organizacje, z których wychodzi rozpęd.

Pierwszą z nich jest organizacja kapitalizmu, wyzyskiwaczy mas, t. j. wszechświatowej klasy rządzącej, która sama zależy od oligarchji wielkich finansistów, najwyższych władców konjunktur współczesnych. Kapitalistyczna konkurencja i centralizacja, działając po dziś dzień, przyjęły niezwykłe rozmiary na skutek postępu przemysłowego, udoskonalenia narzędzi produkcji, rozwoju przedsiębiorstw i tej grawitacji majątków i przedsiębiorstw prywatnych—pochłaniania drobnych przez średnie a średnich przez wielkie— którą prokursorzy umysłowi tak świetnie określili i przewidzieli. Ta ewolucja oddała rządy nad światem w ręce Amerykanów — jedynych bogaczy. Doszedłszy do wysokiego stopnia zdolności przyswajających, cudze zdobycze, poczynają oni kolonizować wszystko, co jest do skolonizowania na naszym stałym kontynencie.

Giełda New Yorku stała się magnesem przyciągającym, kierującym, łączącym i rozdzielającym obieg światowy, sercem wielkiej maszyny, która wszystko porusza. Tam właśnie tworzy się najwyrazistszy obraz kapitalizmu: postęp materjalny niewielu, bogactwo, przelewające się strumieniami, zastępujące wszystko, myśl zaś w zaniku.

Przeciwko organizacji wyzyskiwaczy — organizacja wyzyskiwanych. Proletarjat przeciw kapitałowi. Rewolucja i kontr-rewolucja.

Takie są dwa prądy zasadnicze, głębokie, realne.

Wszystkie ruchy społeczne, wszystkie tendencje, które bądź szeregują swoich zwolenników, bądź poprostu przechodzą przez umysłowość współczesną, dają się, pośrednio lub bezpośrednio, odnieść do jednego z tych prądów przeciwnych.

Bez wątpienia, walka wciąż jeszcze jest bardzo nierówna. Wszędzie, prócz Rosji, siły żywe są po stronie kapitalizmu, jak i instytucje, prawa, potęga państwowa. Jesteśmy świadkami rozwoju faszyzmu, najgorszej reakcji; w tym ogólnym i zwięzłym przeglądzie pozwolę sobie go określić, jako orgnizację walki zaczepnej, stworzoną przez powszechną mobilizację klas średnich i mających na celu rozbicie powstającej organizacji proletarjatu. Atutem wyzyskiwanych nie jest ich własna siła, wciąż jeszcze niedostatecznie zespolona, lecz zgubne wyniki panującego systemu bogacenia się indywidualnego czyli nieszczęścia człowieka. Obecny ustrój nie ma dalszych dróg rozwoju i jest skazany na zagładę przez własną hipertrofję, przez

tkwiącą w nim absurdalność, która coraz bardziej widnieje poprzez sztuczne środki, podtrzymujące go do dnia dzisiejszego: gwałt i oszustwo.

Z aparatem przymusu, którym rozporządza panujący imperjalistyczny kapitał, łączy się całkowita propaganda ideologiczna, wspierająca go i opierająca się o niego. Wielki system pasożytniczy, zasobny we wszystkie środki reklamy, minionych tradycyj i głęboko zakorzenione niewolnictwo; wykorzystując demagogicznie lęk przed nowem i nieznanem, przekręcając ideje i czyny swych przeciwników, dotychczas ma za sobą zgodę ogromnej większości ludzi.

Owa ideologja ucisku jest niezmiernie różnoraka i wielopostaciowa, czasem otwarta, czasem uszminkowana, ukryta.

Pospolita formuła streszcza istotę rzeczy : idea porządku. „Porządek" znaczy w tym wypadku: porządek istniejący, innemi słowy — system wyzysku człowieka przez człowieka.

Dzięki grze słów, dzięki uleganiu fikcjom, które usiłują utożsamić „to, co jest" z „tem, co normalne", dzięki wszelkiego rodzaju scholastyce i djalektyce, które usprawiedliwiają i umacniają dzieło konserwacji społecznej większość ludzi, powtarzam, jest obecnie po stronie uprzywilejowanych i pasożytów.

Z idei Boga wypływała wielka siła uświęconego porządku, jakim był ustrój feodalny, zanim stał się — za zmianą etykietek — ustrojem burżuazyjnem; tyranja ukoronowanych awanturników, dynastji królewskich przemieniona w tyranję aferzystów.

Z koncepcji Boga czerpano elementy tego olbrzymiego fałszowania naturalnej ewolucji ludzkości, tej ofiary mas na rzecz niewielu.

Istotnie, obecność Boga obala wszelkie dzieło ludzkie. Bóg jest wielkim transformatorem, który przemienia wszystko. Jest kontr-rzeczywistością, przyłączającą rzeczywistość.

Zrozumiałym jest przeto desperacki wysiłek reakcjonistów i konserwatystów, aby wyłączyć możliwość „społeczeństwa bez Boga". Prześladuje ich ten upiór. Jeżeli wymknie im się teatralny piorun z zaświatów, wymknie im się wszystko. Jest to więc zasadnicze hasło ideologów kontr-rewolucyjnych — poczynając od stronników „Action Française", którzy twierdzą, iż są *tylko* nacjonalistami, aż do katolików wszelkich odcieni, i modnych obecnie zwolenników neo-chrystjanizmu i neo-tomizmu. Rozwijają oni pod różnemi postaciami tezę Józefa de Maistre'a, dla którego Wielka Rewolucja była szatańska, ponieważ wyłączała interwencję Boga do spraw ludzkich. Nie chcą, aby dotykano Bóstwa wraz z jego zagrobową terapeutyką, która wszystkie porachunki odkłada dla tamtego świata, a tymczasem przygniata żyjących nakazami posłuszeństwa i rezygnacji.

Rzeczą poważniejszą jest wielka ilość surogatów Boga. Prócz Boga, otoczonego nimbem religijnym, istnieje cała serja bożków abstrakcyjnych i religji świeckich, równie opłakanych i błędnych, jak wiara kościoła, gdyż wszystkie one pochodzą z tej samej niedopuszczalnej działalności, która nadaje wartość samoistną, własny i niebezpieczny byt pojęciom lub marzeniom (sprawiedliwości, rozumowi, pokojowi), czyni z nich istności metafizyczne, gdy to są tylko ogólne pojęcia, wytworzone przez umysł, formy myślenia lub terminy opisowe. Charles Rappoport w swej Filozofji Historji świetnie powiada, że „à priori" jest „zastępcą Boga".

Powyższe wywody pozwalają nam wyjaśnić i, — jeśli mi wolno tak powiedzieć, — obrócić wniwecz, powierzchowne i pozorne spory i rozbież-

ności w poglądach tych, którzy w rzeczy samej gromadzą się pod sztandarem Obrony Porządku.

Co nas obchodzą swary domowe wszech-nacjonalizmu, który w każdem wielkim państwie ma swoją pepinjerę, z jakąś sektą różnowierczą, jakąś Młodzieżą Patrjotyczną, Ligą Obywatelską, nawet z Watykanem i papieżem.

Obrońcy Porządku obierają sobie za platformę albo klasycyzm, albo antysemityzm, albo religję patrjotyczną. Szukają argumentów równie dobrze w religjach państwowych, jak i w tak zwanej mądrości pogańskiej starożytnych. Walczący skryba, jak Maurras, jest równie pogański, jak i katolicki. Zresztą, chrześcijaństwo, rozległa, a sztuczna synteza sfabrykowana przez Św. Pawła z żydowskiego monoteizmu i mesjanizmu zmieszanych z pewnemi dogmatami stoicyzmu i platonizmu oraz z mitami grecko-wschodnimi; chrześcijaństwo, jak mówię jest silnie zabarwione pogaństwem Chrześcijaństwo postawiło się na miejscu imperjum rzymskiego, upodobniwszy się doń służalczo. Tenże św. Paweł głosił w sposób absolutny, kategoryczny i bezwstydny bierne posłuszeństwo książętom i ustanowionym władzom. Był on przedewszystkiem obrońcą Porządku.

Co się tyczy hellenizmu, jest to koncepcja teraźniejszości powierzchowna i skrócona, która w istocie rzeczy, mimo wszystkiego górne pretensje, jest w tymże stopniu „rozumem", co chrześcijaństwo „miłością", judaizm oficjalny — „sprawiedliwością", a prawo rzymskie — „prawem".

Pozwolimy więc tym panom gryźć się między sobą. Pozwolimy Młodocianej Republice odrywać się, jeżeli tego pragnie, od Ludowej Partji Demokratycznej. Dajmy spokój pewnej publikacji zwanej „Ruchem" (Le Mouvement), która posuwa ortodoksję i miłosierdzie chrześcijańskie aż do wskazywania po imieniu w kronice włoskiej nowych ofiar Mussoliniemu niechaj obejmie się czule z „Action Française".

Toż samo można powiedzieć, raz na zawsze, o pacyfistach i moralistach, którzy marzą o udoskonaleniu natury ludzkiej i oddają część boską miłości i dobroci. Wnosząc swą utopję do istotnej walki społecznej, odwracają od niej uwagę i energję, zwodzą, przeszkadzają sięganiu do przyczyn anomalji (co jest jedynie uczciwym sposobem walki z nimi), sprawiają, że traci się z oczu drogi praktyczne dyscyplinowanej organizacji i pozytywnych zdobyczy. Czy chcą tego czy nie chcą, stoją oni po stronie konserwatystów.

Toż samo wreszcie można powiedzieć o „demokratach", republikanach, radykałach, socjal - radykałach, a nawet o wielu socjalistach.

W niczem nie zmienia postaci rzeczy, że championi półśrodków, paljatywów, prowizorycznych reperacyj, współpracy klas i powolnego postępu w ramkach absurdalnych instytucyj współczesnych (złudzenia i zasadzki), wydawali grzmiące diatryby przeciw potwornościom wojny, wyzyskowi pracy i ekstrawagancjom faszyzmu. *Wszyscy* oni siłą i logiką rzeczy są obrońcami istniejącego ustroju i prawdziwymi wrogami mas ludowych.

Nie zapomnijmy nigdy, że głównem zadaniem dla organizacji kapitalistycznej jest utrzymanie tego, co istnieje; dla wszystkich innych — zmiana i tworzenie nowego. Jasnem jest, że bardzo różne elementy mogą współdziałać w dziele konserwacji (nawet obojętne i „neutralne") lecz inaczej się dzieje dla tych, którzy dążą do najgłębszej rewolucji. Możemy tu zastosować dwie znane recepty Ewangelji: Zachowawcy mogą powiedzieć:

„Kto nie jest przeciw mnie, jest ze mną", rewolucjoniści winni twierdzić: „Kto nie jest ze mną, jest przeciw mnie".

Wobec tego świata wrogów i fałszywych przyjaciół, lud — proletarjat — stara się stać samym sobą, uchwyciwszy władzę stworzyć dla człowieka nowe prawo, które mu pozwoli zburzyć stare formy ustroju państwowego i zbudować nowe społeczeństwo według wymogów pracy i interesów ogólnych (w obecnym stanie rzeczy, interes ogólny, współpraca ofiar z katami, jest tylko mydleniem oczu), przy pomocy zniesienia klas i państwa. Możnaby powiedzieć, że ustrój oparty na równości politycznej i wytwórczej będzie dziełm demokracji, ale demokracji całkowitej, nie mającej nic wspólnego z werbalizmem demokratycznym, który szerzą z trybun oficjalnych nasi rzekomi republikanie.

Nasz program.

Nie czas teraz gubić się w subtelnych dyskusjach, odkrywać i kolekcjonować nieznaczne różnice. Należy porzucić wszelką mitologję.

Obowiązkiem naszym, inteligencji, pisarzy i artystów, pracowników zawodów wyzwolonych, jest usunięcie wszelkich sofizmatów i wszystkich szaleństw, któremi karmiła się dotychczas nędza ludzka. Musimy dać świadomość wyzyskiwanym, ażeby uzgodnili czyny swoje z wymogami rozumu i własnego swego, życiowego interesu. Powinniśmy podkreślać jaskrawo promienny akord woli mas ku zaprowadzeniu racjonalnego i naturalnego porządku rzeczy i ku prawu wszystkich do życia.

Na jakich podstawach próbujemy połączyć w tych różnorakich środowiskach inteligenckich, elementy zapewniające przygotowanie nowych czasów? Zgrupujemy je nie przy programie politycznym, lecz przy trzech wielkich i rozległych zasadach działania:

1) zbliżyć pracowników fizycznych i pracowników umysłowych. Ci ostatnio są zresztą równie wyzyskiwani i skazani na nędzę, na żebractwo i służalność wobec potężnych i bogatych.

2) walczyć przeciwko propagandzie reakcyjnej, archaicznej ideologji i kultury burżuazyjnej.

3) wyzwolić i dopomóc rozwojowi sztuki kolektywnej.

Ze zbiorowością łączą nas nie tylko względy nieubłaganej konieczności, którą wykazałem powyżej, lecz również poczucie wielkości i życia. Sztuka odnowi się od dołu, jak i społeczeństwo. Nieograniczone perspektywy otwierają się przed tem odrodzeniem, którego zapowiedzi już dają się wyczuwać.

Oto są trzy zasadnicze punkty, przy których powinna się urzeczywistnić jedność międzynarodowa. Powyższe zasady przylegają do rzeczywistości i odmykają przyszłość.

Henry Barbusse.

Mieszczańska i proletarjacko-rewolucyjna literatura w Niemczech

(Artykuł informacyjny napisany specjalnie dla „Dźwigni").

„MARTWY PUNKT"

Dzisiejszy stan rzeczy w literaturze mieszczańskiej odznacza się tem, że nie może ona nawet stawiać problemów, ani treściowych, ani też formalnych, o współpracy zaś i udziale w poważnem i odpowiedzialnem rozwiązywaniu tych problemów nie może być wprost mowy. Twórczość niemiecka w praktyce oddawna zrzekła się pretensji do kierowania lub ustanawiania czegoś w zakresie ideologji. Jednym z najcharakterystyczniejszych objawów dzisiejszej twórczości jest jej anaukowość, lekceważenie wiedzy — zjawisko identyczne zwykle z zupełnym upadkiem kierunku w sztuce. Jałowy epigonizm z jednej, bezpłodność bezsiły z drugiej strony: cóż uczynić z prawdą, która jest przecież zwykle „już prześcigniętą wiedzą". Następuje konieczność kurczowego odgraniczania się od niej, aby się samemu nie zniweczyć. Pytamy: czy dzisiejsza mieszczańska literatura stawia problemy, które naprawdę są na czasie i ogólnoludzkie; takie, którem i można się poważnie interesować; czy stwarza formy do których przyszłość przywiązywać będzie wagę; czy formułuje dokładnie upadek mieszczaństwa, czy istotnie kontynuuje dzieło tych wielkich pisarzy, który ten upadek sformułowali, czy może uzupełnia gmach, któremu kształt nadali z rozmachem olbrzymim jeszcze przed dziesiątkami lat Zola, Flaubert, Dostojewski?

Odpowiedź brzmi w każdym razie: nie! Rozkład niemieckiego społeczeństwa mieszczańskiego jest taki, że nie produkuje ono nawet więcej wartościowych pod względem artystycznym dokumentów tego upadku. Temat: niemiecka dżungla — zdaje się być wyczerpany, co dziwi jego mieszczańskich krytyków.

„Każde stanowisko dopuścić do głosu" (z wyjątkiem komunistycznego — oczywiście). Tego rodzaju stanowisko — braku stanowiska, jest programem najlepszych współczesnych przeglądów literackich. Np. „Literarische Welt". Zajmujący, przepełniony wszelkiego rodzaju zabawnemi anegdotami miszmasz, w którym każdy zarodek powagi skomoinowany jest z istnemi orgjami płaskości, najfrywolniejszego cynizmu, pustej patetyczności: to się nazywa (i słusznie zresztą może się nazywać)—reprezentacją niemieckiej literatury. Rzeczy najszkodliwsze nawet będą się w takiem społeczeństwie podobały (nie chcemy mówić o krytyce, która doszła już do takiego stopnia korupcji, że stała się zupełnie jawnie t. zw. „krytyką ogłoszeniową"). Ci literaci są jeszcze w najlepszym wypadku aranżerami, duchownymi dekoratorami okien wystawowych. Świat — to dla nich potpourri — sensacyjne ragoût rzeczy, ludzi, poglądów, istniejących poto, aby przepędzać własną nudę, zapełniać pustkę w głowie i ubóstwo serca. Ze wstydem powiedzmy otwarcie — zjawisko to opisują nader malowniczo. Naszym obowiązkiem jednak jest wypowiedzenie tego, czego nie wypowiedziały oświadczenia tych klik literackich. Że zadaniem człowieka jest „również" przemiana świata, świadome kształtowanie życia ludzkiego — ach, o tem zapomniano oddawna, lub też, z kilkoma taniemi dowcipami, odrzucono to, jako „młodzieńczą romantykę". (Podkreślić tu należy rolę „zdrajców i półzdrajców, jaką odgrywają przytem t. zw. „piewcy pracy", jak Bröger, Lersch, Barthel).

Jest się dojrzałym i rozsądnym, tylko powierzchownie zauważa się świat — nie posiada się nawet jego znajomości, bo to byłoby już zbyt uciążliwe, i zawiele — i, nie opłaciłoby się. A tak będzie się zaspokojonym.

Zająć stanowisko? Poco? Mieć jakieś kryterja? Kompletne szaleństwo. Dlatego, że ich świat to bagno, w którem pogrąży się każde stanowisko.

Faktem jest, że i dzisiaj jeszcze istnieje znikoma mniejszość mieszczańskich pisarzy, którzv bardzo niechętnie i z głębokiem obrzydzeniem przyłączają się do tych kół, tęgich w geszeftach. Jedno ugrupowanie („Gruppe 1925", do którego, między innymi, należeli Döblin, Bert, Brecht, Wolfenstein, Roth, Holitscher) niedawno jeszcze protestowało przeciw pozbawionej treści, salonowej działalności Penclubu, międzynarodowego zjednoczenia pisarzy mieszczańskich. Wiele bólu rozczarowania i oburzenia ludzie ci zdławią, zmuszeni będą krok za krokiem kapitulować — i aby tylko móc nędznie wegetować, będą ustępowali z jednego ideału po drugim. Czyż wierzą oni naprawdę w dzień „zemsty" — w czas, kiedy wszystko będzie z gruntu, od podstaw inne?

Najzdolniejszy niemiecki dziennikarz Kurt Tucholski, należący i dziś jeszcze do lewicowo-radykalnego czasopisma mieszczańskiego „Weltbühne" — o ile wszystkie oznaki nie mylą, jest na naszej drodze. Egon Erwin Kisch, dla którego podróż do Rosji wyraźnie była uderzeniem obucha w głowę — w niedwuznacznych wypowiedzeniach posunął się wprost na lewy front. Również współpracowników doskonałego, redagowanego przez Gerharda Pohla czasopisma: „Die Bücherschau" (Przegląd książek) zaliczyć można do sympatyków ruchu robotniczego (Max Hermann - Neisse, Mehring).

Inni zaś znajdują się dziś w sytuacji, którą nazwać można martwym punktem. Motor ich idzie biegiem jałowym. Osobiste przeżycia i doświadczenia spowodowały, że ośmielili się wyjść z mieszczańskiego środowiska. Zatrzymali się jednak w połowie drogi, ponieważ, konsekwentnie idąc nią dalej, musieliby wpaść w szeregi klasowo uświadomionego proletarjatu. Tak zaś sterczą oni, niegdyś ludzie życia, pogrążeni w atmosferze, która nie zna ani „naprzód" ani też „z powrotem". W twórczości niektórych prawie dokładnie wskazać można punkt, po którym powinno było nastąpić „przejście przez barjerę". U George'a Kaisera „Gaz" — u Leonarda Francka: „Człowiek jest dobry". Również Henryk Mann, w którym wielu u nas pokładało wielkie nadzieje zawiódł. Wszystkie inne dzieła oznaczają, w przeciwieństwie do tych dzieł o „osiągniętej pozycji" — powolne, niepowstrzymane opadanie, odwrót pośród pewnych określonych form słownych i manewrów, niepewność i szukanie poomacku w stawianiu problemów; akcenty przesuwają się: to, co niegdyś było dla nich najważniejsze i najistotniejsze: rewolucja socjalna, usuwa się w cień, jako sprawa uboczna, jako epizod. Rezultatem tego jest niezdecydowane „zawieszenie w próżni międzyklasowej" — „ani tu, ani tam". — Atmosfera ta ma też swoistą właściwą jej mowę. Albert Ehrenstein, jeden z najzdolniejszych pisarzy tego gatunku, dał w liryce najpełniejszy wyraz temu położeniu „między".

Brak nadziei, zmęczenie, cynizm i sarkazm, wynikający z głębokiego wejrzenia w beznadziejność i szaleństwo bytowania swego. Bez widnokręgów, bez wyjścia. Zapora staje się murem, masywem skalnym, zasłaniającym oku widok każdej żywszej przyszłości.

BÓJ PRZED FABRYKAMI

„Bój przed fabrykami" — to tytuł opowiadania Abuscha, które zjawiło się w wydawnictwie „Viva".—W związku z tem opowiadaniem nasuwają się pewne problemy naszej proletarjacko-rewolucyinej literatury, których rozwiązanie również w przyszłości będziemy musieli starannie śledzić i rozważać. Wielką trudność w roztrząsaniu tego rodzaju kwestji stanowi to, że rozdział sztuki i życia, będący rozstrzygającym, charakterystycznym objawem każdego upadającego kierunku w sztuce, istnieje również i u nas a to w tem znaczeniu, że przy zjawisku literackiem nigdy prawie nie możemy skontrolować, jak oddziałuje ono na masy, dla których jest przeznaczone. Krytyka mas pozostaje niema. Nie zrozumieliśmy zupełnie koniecznej życiowo łączności na tem polu między autorem i szerokiemi masami. Tu i tam zapoczątkowano to, gdy w „Rote Fahne" — z okazji publikowania powieści „Mess-Mend" redakcja prosiła czytelników o przesyłanie opinji — i wybrane z pośród nich wydrukowano następnie po ukończeniu powieści. Ale skończyło się na tym obiecującym początku. W prasie prowincjonalnej własne sądy literackie są rzadkością. Liczba poszczególnych dzieł, będących w obrocie nie jest żadnym dowodem. W interesie naszej artystyczno - literackiej produkcji należy stan ten bezwzględnie usunąć — i spróbować, w miarę możności i tutaj również przezwyciężyć rozdział między życiem, a sztuką. Nasi pisarze chcą i muszą się uczyć. — Do tego potrzebna im jest krytyka z dołu...

■

Co przedstawia „Bój przed fabrykami?" Treść jest zaczerpnięta z życia robotników. Opis przebiegu strajku. Opis prawdziwy i rzeczywisty dlatego, że strajk ten nie występuje, jako zjawisko odosobnione, zdarzenie jednorazowe, lecz jako etap wielkiej wojny o wolności klasy robotniczej. Wypadek poszczególny rozpościera się na całość, ogólne prawo walki klasowej przedstawione jest widocznie, konkretnie. Rysy specjalne nigdy nie posuwają się tak daleko, aby nie uwidaczniać dosyć wyraźnie powagi zjawiska ogólnego. Strajk nie prowadzi do zbrojnego powstania, zostaje zerwany, zwalczony. Styl sam opada „nigdy nie wznosi ponad treść" dopiero na końcu dzieła podnosi się znowu, kończy akcentem nadziei, wesela, walki. Proletarjusz, powracający z miejsca walki i porażki, gwiżdże „Międzynarodówkę". Wiadomo odrazu, co dzieje się w jego duszy. Cała historja opowiedziana szaro, monotonnie, prawie czczo. Styl Abuscha niema nic z tej egzaltowanej forsowanej kunsztownie i załganej do gruntu „nowej rzeczowości" — o której pewni mieszczańcy artyści i krytycy sądzą, że ją dopiero odkryli. Styl Abuscha odpowiada tematowi. Nie znaczy to, że styl ten jest bez zarzutu, że rzecz cała nie mogła być ujęta o wiele mocniej, że wydobycie poszczególnych momentów nie powinno występować jeszcze silniej i bezwzględnej. Głębiej, w sposób jeszcze bardziej skoncentrowany i przejmujący.

Ale musimy, patrząc na ogólne położenie naszej proletarjacko-rewolucyjnej literatury, zaznaczyć z całym naciskiem przy tej pierwszej próbce literackiej Abuscha, że „Bojem przed fabrykami" stworzył świetną

placówkę, z której przy dalszej usilnej pracy zdobyć sobie może stanowisko dobrego, proletarjacko - rewolucyjnego pisarza.

■

Straszna słabość Kurta Kläbersa, również czerpiącego swe tematy z życia robotników, wynika, przynajmniej dotychczas, z ujęcia robotnika, jako takiego, zupełnie spontanicznie, tylko elementarnie, tylko głucho, prawie biologicznie. — Powstanie wybucha bez żadnej organizacji, żadnej woli ani świadomego kierunku. Partja, dyrektywa nie istnieją. Z przedstawienia sprawy przez Kläbersa można by wysnuć wniosek, który też już wyciągnięto, że powstanie i wszystkie ofiary są szaleństwem. Napewno intencję Kläbersa nie było dostarczenie sposobności do podobnych wniosków. Ale w tej dziedzine musi on swą twórczość skorygować, jeśli nadal chce być naprawdę rewolucyjnym artystą. Produkcji Kläbersa brak teorji. Bez rewolucyjnej teorji nie może też dzisiaj istnieć artystyczna praktyka. Siła obrazowania Kläbersa jest natomiast nadzwyczajna i nieodparta. Jego styl to ruch — osiągający czasem najszybsze tempo.

■

Jeśli ujmujemy Herminję za Mühlen i Müller - Glösę — jako jedno poniekąd zjawisko, to postępując tak, zdajemy sobie sprawy z różnic, zachodzących i między temi autorami. Ale oboje w wielu pracach postawili sobie to samo zadanie: przezwyciężyć mieszczańską ideologję, którą sobie biorą za temat. — I temu zadaniu nie podołali — oboje w ten sam sposób.

Müller - Glösa wysypuje przed nami cały drobnomieszczański kramik; drobnomieszczaństwa często pełno jest jeszcze w życiu niejednego proletarjusza, a Müller-Glösa przystępuje do swej pracy — w to nie można wątpić — napewno w najlepszej wierze — z zamiarem usunięcia w ten sposób drodrobnomieszczaństwa z serc i mózgów robotników. Cóż jednak się dzieje? W stylu, w sposobie wyrażenia się, w poetyckich środkach kształtowania materjału, staje się Müller - Glösa ofiarą swego tematu, krok za krokiem kapituluje, to znaczy z pisarza, w którego intencjach leży zwalczanie drobnomieszczaństwa — sam staje się mieszczuchem . Przedstawić drobnomieszczańskie środowisko tak, aby, samemu przytem nie przejąć się jego duchem — wymaga pokonania tego środowiska i opanowania go do czego Müller - Glösa absolutnie nie nadaje się. Może spłatała mu przytem figla jego niemoc, jako rzemieślnika. Odczuwa się u niego również zupełny brak zdolności do satyry i karykatury, właściwości, które należeć winny do arsenału każdego pisarza, przedstawiającego drobnomieszczan. Tak stał się on — wbrew swym zamiarom — krzewicielem bu-nych małomieszczańskich nastrojów i idei. Kicz nawet czerwono — purpurowo wprost zafarbowany — musi się należycie traktować. Müller-Glösa musi nauczyć się jeszcze wiele od świetnych, mieszczańsko - rewolucyjnych pisarzy, Zoli, Dickensa, Tołstoja, etc., aby w przyszłości choćby w pewnej mierze dorosnąć do swego zadania. Niedawno wskazywaliśmy na amerykańskiego pisarza. Sinclair Lewis'a — autora powieści „Babbit". U niego, a również, pewnemi zastrzeżeniami, u Leonarda Franka i u, niestety zmarłego Franciszka Junga — Müller - Glösa może uczyć się, jak robić się drobnomieszczańskie millieu, nie stając się samemu drobnomieszczaninem, jako pisarz.

Coraz więcej, jak to widać z własnej produkcji — i doboru ostatnich przekładów — grozi powyżej opisane niebezpieczeństwo także Herminji zu Mühlen, która urobiła sobie świetne imię, jako tłomaczka Uptona Sinclair'a. Dość dobrze znamy teorję podawania gorzkiej pigułki walki klasowej w małomieszczańskiej formie opłatka, znamy miodową teorję tego „wlewania podstępem po łyżeczce". Szkoda tylko, że medycyna sama oddawna rozłożyła się przy tej nader chytrej próbie. Autorzy ci robią ustępstwo za ustępstwem, aby zwolna udusić się w jej szopce ustępstw. Niepotrzebne ustępstwa, zbyteczne kompromisy. Mają oni zbyt pesymistyczne perspekywy, przynajmniej o ile chodzi o ich proletarjackich czytelników. Pesymizm byłby raczej usprawiedliwiony w stosunku do nich samych: czy taka produkcja, nawet dostarczana i krzewiona w wielkich ilościach, w najlepszym wypadku odrazu nie zniknie, wystrzeliwszy, jak pusty nabój?

■

Wszystkie wartościowe próby, dokonane w dziedzinie sceny proletarjacko-rewolucyjnej, łączą się z imieniem reżysera, Piscatora. — Piscator w swych inscenizacjach stał się sam potężnym twórcą scenicznym. Dzieła, np. Tollera albo Paquetsa napisane słabo — zarówno pod względem treści, jak i formy, są naprawdę, jeśli idzie o pozytywne elementy przy przedstawieniu teatralnem — dziełem Piscatora. Piscator jest mistrzem przerabiania, tworzenia na nowo, wydobywania tego, co najistotniejsze. Dzieło Piscatora wymaga wnikliwego rozpatrzenia w osobnem stadjum. W związku z tą sprawą należy też wymienić imiona malarzy, jak John Heartfield, George Gross i Rudolf Schlichter, którzy zaopatrzyli nasze książki w rysunki na okładkach i ilustracje, doskonale nadające się do utorowania książkom drogi do szerokich mas. Nieliczne prace poetyckie George'a Grossa należą do najistotniejszych w nowej literaturze.

Dla całkowitej orjentacji wymienimy jeszcze: Bertę Lask, Wingenheima, Wittfogela, Ericha Mühsama i Oscara Kanehla, przedewszystkiem jednak Alberta Daudistela — którego powieść: „Lahme Götter" („Bogowie kulejący") jest świetnym początkiem.

Krytyka literacka i sama literatura są nierozłączne. I tak proletarjacko-rewolucyjne Niemcy rozporządzającą całym szeregiem doskonałych essaistów, satyryków, krytyków. Są to: Kurt Kersten, Otto Steinicke. Wilhelm Herzag, Frieda Rubiner, Edward Fuchs, zu Marten, Seehof, Kamen, Komjat, Slang — że wymienimy tylko najwybitniejszych.

Wskazać też należy na bezimienną produkcję, objawiającą się, jako „korespondencje robotnicze" w naszych pismach — albo też przy przedstawieniu rewolucyjnych sztuk, jako wyraz stanu samych mas.

■

Mimo to musimy o wiele obszerniej, niż dotychczas, informować regularnie o wszystkich zarodkach literatury proletarjacko-rewolucyjnej, o ile możności rozwijać ją, propagować nazewnątrz (radio etc.) — i wewnątrz żywo podsycać i pielęgnować ją. „Bój przed fabrykami" — to nietylko tytuł jednej książki—„Bój przed fabrykami" trafnie określa całą sytuację, w jakiej znajduje się teraz nasza proletarjacko - rewolucyjna literatura. Ciągle jeszcze nie udało się nam ani wedrzeć do samego centrum robotniczego, ani też przedstawić życie robotników, zgodnie z rzeczywistością, tak,

aby serce bezpartyjnego nawet robotnika zostało głęboko wstrząśnięte. Nacisk położyć jeszcze musimy na takie społeczno-krytyczne dzieła literackie, które dostarczają robotnikowi koniecznego uzupełnienia do praktycznej walki — i teoretycznych studjów.

Najlepsze jest dla robotnika właśnie dosyć dobre. Robotnik niema czasu pożerać mnóstwa nudnych, rozwlekłych książek, aby w końcu zawyrokować o jednej, że opracowana, przerobiona — jest godna czytania. Godne czytania jest dla nas to, co wzmacnia siłę czytelnika w walce klasowej — trwale wzmacniająco na nią wpływa. Jeśli zaś czytanie samo jest przerwą dla zaczerpnięcia oddechu, to jednak zawsze taką, która w specjalnie przejmujący, i sztuce tylko właściwy sposób pozornie pozwala siłom czytelnika odpoczywać, w istocie zaś gromadzi je i przygotowuje do nowej walki w dniu jutrzejszym.

Johannes R. Becher.

POMYŁKI PRZEDWIOŚNIA

(Z powodu książki J. Bronowicza „Stefana Żeromskiego tragedja pomyłek").

Zupełnie wyjątkowy wpływ Żeromskiego na inteligencję polską w ostatnich latach dwudziestu kilku, stanowi fakt nie ulegający wątpliwości. Co innego jeśli idzie o wyjaśnienie tego faktu. Talent pisarski choćby największy odgrywa w takich wypadkach rolę nie jedyną i nie główną — muszą istnieć inne przyczyny tego wpływu. Tutaj mamy rzeczywiście do czynienia z wyjątkową elastycznością psychiki pisarza, poddającego się niesłychanie czujnie oddziaływaniom, idącym ze strony określonego środowiska społecznego.

Trzeba tu podnieść jedną rzecz. Żeromski ustalił za sobą opinję bezkompromisowości — opinję pisarza szczerego aż do okrócieństwa, bezwzględnego odsłaniacza najboleśniejszych i najwstydliwszych ran społeczeństwa burżuazyjnego. W pojmowaniu takiem jest pewna doza słuszności, szczególniej jeśli brać pod uwagę osobiste stanowisko pisarza. Ale też prawdomówność owa wygląda zupełnie inaczej, gdy zestawimy ją z objektywnym rozwojem tendencji społecznych w Polsce.

Rzecz naturalna, iż jeśli idzie o życie społeczne nie możemy się właściwie posługiwać pojęciem nieprawdy czy fałszu w ten sposób, w jaki odnosimy je do działań poszczególnych jednostek. Jeżeli człowiek prowadzący jakąś wielką zbiorową akcję — weźmy najjaskrawszy przykład — dowódca wojskowy, w czasie decydującej rozgrywki ukrywa starannie prawdziwą wiadomość o klęsce i ściga rozgłaszających prawdę — to postępowanie jego trudno oceniać jako zwykłe kłamstwo. Rozgłosiwszy bowiem prawdziwe fakty, naraziłby się na upadek ducha pozostałej części armji i klęskę nie do powetowania, podczas gdy ukrywając rzeczywisty bieg wydarzeń, zatrzymuje sobie w rękach możność jego poprawienia. W podobnem, tylko bardziej skomplikowanem położeniu, znajdował się pisarz taki jak Żeromski, w swoim rodzaju organizator świadomości zbiorowej całych grup społecznych.

Olbrzymi wpływ Żeromskiego polegał na niezrównanem taktycznem wyczuciu środowiska dla którego pisał i odpowiedniem nagi-

naniu się do przenikliwie odczutych jego potrzeb. Nie było tu wulgarnego schlebiania gustom publiczności, właściwego pewnemu bardzo pospolitemu gatunkowi autorów, choć naogół, przy bliższem rozpatrzeniu, śmiało można powiedzieć iż Żeromski i takimi środkami wcale nie gardził. Najważniejsze atoli jest owo wyczucie rzeczy zasadniczych, instynkt taktyki społecznej powstający tylko na tle silnego poczucia klasowego i wyrażający się w subtelnym sposobie preparowania materjału myślowego i artystycznego ze stanowiska klasy, której służył. Na tem to polega doniosłość dzieła Żeromskiego dla burżuazyjnej inteligencji polskiej.

Jako typowy przykład klasowych tendencji Żeromskiego może służyć ostatnia jego powieść „Przedwiośnie", która stała się punktem wyjścia dla serji artykułów Bronowicza*), wydanych niedawno w książce.

Pomijam tu pewne zasadnicze nieprawdopodobieństwa natury biograficzno-chronologicznej i psychologicznej w głównej postaci „Przedwiośnia", Cezarym Baryce, choć i to może służyć jako ważny symptomat. Idzie o sam sposób przeprowadzenia zasadniczej myśli. Bronowicz w studjum swojem bardzo ładnie wyjaśnia symbol zawarty w kaukazkiem pochodzeniu młodego Baryki i wędrówce reemigracyjnej ojca i syna. Ale jeżeli koło „Przedwiośnia" zerwała się cała burza polemik, to chodziło tu nietylko o symbole.

Istnieje jeden konkretny fakt społeczny znany również krytykom burżuazyjnym — szybkie radykalizowanie się części młodzieży inteligenckiej. Cezary Baryka bardzo prędko został poznany jako przedstawiciel tej właśnie zrewolucjonizowanej młodzieży. Nie ulegało wątpliwości, że został przez autora „Przedwiośnia" podniesiony bardzo wyraźny problemat społeczny. I tu napotykamy jedno z owych właściwych Żeromskiemu subtelnych zafałszowań materjału życiowego. Pomijając wszelkie symbole — na pierwszy plan wysuwa się owo kaukaskie wychowanie — istotna obcość młodego Baryki społeczeństwu polskiemu. A że ta część powieści, gdzie odbywa się starcie ideowe, nazwana została „Wiatr od Wschodu", przeto zamiar autora jest zupełnie jasny. W ten sposób na cały ów przełom ideowy (a idzie tu przecież nietylko o indywidualnego Cezarego Barykę, ale o tych, których Cezary ma niby reprezentować) rzucone zostało odium obcości zasadniczej — nalotu z zewnątrz. „Przedwiośnie" jest świetnym dowodem działania ducha klasowego w utworze artystycznym. Samo taktyczne podniesienie problemu miało go obezwładnić — autor krytym sztychem zadaje cios wytaczanemu przez się zagadnieniu.

Oblicze klasowe „Przedwiośnia" w zasadzie było więc bardzo jasne. W późniejszych artykułach, pisanych przez Żeromskiego w swojej obronie, widać szczere zdumienie starego pisarza, iż część krytyki burżuazyjnej nie zrozumiała jego intencji. Ale tego niezrozumienia było kilka przyczyn.

W ostatnich czasach bardzo wiele przedsiębiorstw w celu uniknięcia pełnego wymiaru podatków prowadzi dwojaką księgowość. Księgi handlowe, prowadzone jawnie, służą do okazywania kontroli podatkowej, faktyczny zaś obrót firmy wykazywany jest w innych księgach, sekretnych, dla wyłącznego użytku przedsiębiorcy. Pisarze też niekiedy prowadzą (z innych co prawda pobudek) taką dwojaką rachunkowość i coś podobnego było z Żeromskim w czasie tworzenia „Przedwiośnia". Tylko, że logika działania artystycznego bywa zdradliwa, — w tym wypadku rozbiła ona częściowo wyrachowania. Fałszywe cyfry i sumowania pomieszały się z prawdziwemi. Tu należy podkreślić właściwe Żeromskiemu liryczne akcentowa-

*) Artykuł niniejszy pisany był w marcu 1926 r.

nie pewnych rzeczy silniejsze nieraz nad zamiar. Prawomyślność starego autora „Popiołów" została zakwestjonowana z innych jeszcze powodów.

W dobie podwójnego nacisku na myśl ze strony władz cenzury i policji oraz przestraszonego społeczeństwa burżuazyjnego, co znamiennie charakteryzuje całe życie umysłowe Polski w ostatnich latach — wytworzyła się specyficzna próżnia duchowa domagająca się zapełnienia, głód na pewne problematy, który sprawia, iż przejawy same przez się niecałkowicie ujmujące dane zakazane zjawiska — lub ujmujące je w sposób przytłumiony i słaby — nabierają znaczenia rewolucyjnego. W przełomowych okresach historycznych niejednokrotnie notowane bywają dzieła w założeniu swem pozornie nawet małoznaczne, które jednak stały się ważnemi wypadkami dziejowemi, dając wyraz uboczny tendencjom rewolucyjnym, nie mogącym przejawić się wprost. Tak było ze słynnem „Weselem Figara" Beaumarchais'go. Coś podobnego zdarzyło się z „Przedwiośniem". Pomogła tutaj wydatnie część krytyków burżuazyjnych.

Uważali oni, iż wszelka choćby najbardziej wroga, ale z pozorami rzeczowości prowadzona, dyskusja z komunizmem jest częściową propagandą przewrotu. Jedynemi według nich dopuszczalnemi argumentami są tutaj więzienia i sądy. W tej atmosferze agitacyjny, właściwy sens „Przedwiośnia", przepadł, a Czaruś Baryka przemówił nadspodziewanie głośno, ponad efektywną możność daną mu przez autora, a złe sumienie i strach burżuazji stworzyły ogromny stosunkowo rezonans.

Pisząc o książce Bronowicza, uważałem za niezbędne podkreślenie charakterystycznych momentów samego „Przedwiośnia" i atmosfery, w której powstało dzisiejsze znaczenie tego dzieła. Autor „Tragedji Pomyłek" miał na myśli przeciwstawienie poglądom Żeromskiego — na stan rzeczy w Polsce współczesnej — poglądów z drugiej strony barykady. Sposób w jaki tego dokonał — przyjęcie jakiego doznała książka o „Przedwiośniu" zwłaszcza w pewnych kołach młodzieży, przyznającej się do marksizmu — są to rzeczy, trzeba stwierdzić odrazu, przygnębiające i mogące doprowadzić do najbardziej ponurych wniosków o dzisiejszym poziomie ideologicznym ruchu robotniczego w Polsce.

Niezawodnie w samem założeniu książki Bronowicza tkwi pewna tendencja polityczna i to doprowadzona do krańcowych konsekwencji. Nie zaczepiając bynajmniej tego posunięcia politycznego, którego studjum omawiane jest jednym z przejawów ani wdając się w rozbiór owych konsekwencji, ograniczę się do poruszenia pewnych tez autora, które na książkę jego rzucają dostatecznie jasne światło.

Poszczególne twierdzenia Bronowicza dadzą się zgrubsza wydzielić w dwie grupy: Jedna, w której autor pisze wprost o Żeromskim i zagadnieniach bezpośrednio z jego utworami związanych, druga w której temat powyższy służy do „uwag na marginesie" (tytuł IV rozdziału).

Z pierwszej grupy najcharakterystyczniejsze i najbardziej interesujące są ustępy książki, w których autor porusza sprawy stosunkowo aktualne (rozdział III).

Przytaczam urywek wyjaśniający poglądy autora na dzieje wojen przeciwrewolucyjnych w Rosji, a w szczególności na epizod roku 1920.

> „Wprawdzie, kto widział zbliska stan armji czerwonej w 1920 roku, wie, że nie mogło być mowy o technicznie wojskowej przewadze z jej strony*). Ale faktem jest, że te zastępy głodne, bose i obdarte odnosiły wal-

*) Była zato i to wcale poważna *niedowaga* liczebna w decydujących momentach z jej strony w porównaniu z armją polską, co przyznają zresztą polscy fachowcy wojskowi.

ne zwycięstwa nad nierównie lepiej wyekwipowanym i wyćwiczonym przeciwnikiem na Syberji i na Murmanie, na Kaukazie i na Krymie. Decydowała tam przewaga *moralna*, ta sama, dzięki której Taboryci bili najemne żołdactwo Cesarstwa, tkacze flamandzcy gromili najświetniejsze rycerstwo francuskie, dzięki której święcili tryumfu orężne purytanie Cromwella i zasłuchany w marsyljankę motłoch rewolucyjny z pod Valmy i we Włoszech. Jeśli ta kosa rewolucji — dość silna by odepchnąć wojska polskie ze swojej gleby z pod Kijowa — natknęła się na kamień w samej Polsce, to najniewątpliwiej dlatego, że tu jej się przeciwstawił czynnik *tej samej natury* — patryotyzm młodzieży polskiej" (podkreślenia autora).

Autor więc stwierdza stanowczo, że armja czerwona przegrała w 1920 roku dzięki przewadze moralnej ówczesnej armji polskiej t. j. czynnikowi tej samej natury, dzięki któremu Taboryci zwyciężyli żołdactwo Cesarstwa, tkacze flamandzcy — rycerstwo francuskie i t. d. — doświadczenie militarne Bronowicza jest, jak widzimy, dość obszerne. Przełożywszy ową nieokreśloną „przewagę moralną" na konkretniejszy obraz propagandy dwóch stanowisk, możemy rezultat wywodów Bronowicza wyrazić w następującym symbolu: armja czerwona przegrała dlatego, że ksiądz Skorupka (niezaprzeczony chyba przedstawiciel przytłaczającej większości owej patryotycznej młodzieży) zwyciężył moralnie „politruka" armji czerwonej i to zdecydowało o losie wojny. Nie chcę tu wchodzić w uzasadnienia twierdzeń Bronowicza *). — Sprawa jest za trudna, by ją omawiać w kilku zdaniach. Można

*) Pozostawiając tę, nienową zresztą, interpretację „cudu nad Wisłą" publicystom „radykalnym" jako wymarzony temat do bystrych spostrzeżeń w ich stylu (nasuwają się analogje poprostu niesamowite) warto jednak zaznaczyć, że nikt kto trzeźwo obserwował wypadki i nastroje r. 1920 i nie miał oczu beznadziejnie zaćmionych przez wpływy literatury romantycznej lub przez feljetonistów patrjotycznych gazet (którzy zresztą byli wtedy korespondentami z frontu) — nie podzieli egzaltowanych wywodów Bronowicza na ten temat. Nawet o nastrojach oficerstwa najprawowiciej endeckiego, nie mówiąc już o różnych, przeniknietych mniej lub więcej różowemi pasemkami, „rzodkiewkach" radykalnych — zwłaszcza na tle silnej niechęci do Ententy za niedostateczną pomoc — dałoby się wiele powiedzieć. Należy jednak zwrócić uwagę na bardzo charakterystyczne przemilczenia autora, np. faktu, że ta wojna wzięta jako całość (t. j. r. 1919 i 1920) nosiła charakter jednolicie ofensywny, przeciwrewolucyjny i skierowany na ziemie, będące domeną szlachty „kresowej". Kilkotygodniowy pochód wojsk czerwonych na Warszawę, wynikł z załamania się frontu polskiego, wskutek tej zachłannej, a ślepo nieliczącej się z siłami akcji obejmowania olbrzymich terytorjów — i stanowił w gruncie rzeczy przez swoją szybkość prawie że niespodziankę nietylko dla sztabu polskiego zresztą — ale i częściowo dla dowództwa armji czerwonej. Gdyby rządzące czynniki polskie chciały kiedykolwiek zawrzeć pokój, miałyby tą sposobność nieraz w 1919, 1920 r. — a choćby wtedy gdy ówczesna RSFSR zawierała ugody pokojowe z państwami bałtyckiemi. Jak wiadomo niektóre z tych drobnoustrojów narodowych wogóle nie miały „niepodległego" życia nawet pozornego od czasów średniowiecza. Ciekawość jakiemi cudami „przewagi moralnej" wyjaśniłby Bronowicz ocalenie ich burżuazyjnej „niepodległości" z natury rzeczy bardziej zagrożonej, niż polska. (Wystarczy wskazać, że jeśli Polska urządziła wyprawę na Kijów, to taka Estonja służyła jako baza wojenna do ataków na Leningrad). Jasne jest chyba, iż mamy tu do czynienia, by tak rzec, z hurtową produkcją historji — jeśli idzie o niepodległości państwowe — a zupełnie elementarna sumienność nakazywałaby szukać wspólnego wyjaśnienia dla wszystkich tych zjawisk.

Należałoby kiedyś raz na zawsze rozprawić się z takiem z lekkiej ręki dobieraniem efektownych analogji historycznych: Taboryci, purytanie Cromwella, motłoch (!) rewolucyjny z pod Valmy i armja czerwona. Szczególnie u pisarzy stojących na gruncie

tylko zauważyć, że jeśli to jest właśnie „metoda społeczno-historyczna", której ścisłe i twarde stosowanie Bronowicz zaleca na str. 111 swej książki to o jedno możemy być spokojni: o rozpowszechnienie owej metody. „Najniewątpliwiej" wykładają ją we wszystkich szkołach dla grzecznych i niegrzecznych dzieci polskich od wielu lat.

Z poglądami powyższemi wiąże się to, co o parę stronic dalej autor mówi o dramacie Żeromskiego „Ponad śnieg". Bronowicz popełnia tu błąd, mówiąc, że jest to utwór bezpośrednio związany z wypadkami 1920 r., gdy w rzeczywistości dramat ten był napisany w 1919 r. i od samego początku 1920 r. grany w warszawskim teatrze „Reduta". Autor pomieszał tu zdaje się „Ponad śnieg" z podobnym w tendencji dramatem Sieroszewskiego p. t. „Bolszewicy", obrazującym rzeczywiście wypadki 1920 r. na podobnem tle dworu polskiego obszarnika.

Przypuszczenia autora na temat powstania dramatu „Ponad śnieg" są więc zasadniczo błędne — pomimo to przytoczyć je warto. Bronowicz pisze między innemi:

> „Zdawaćby się mogło, że w danym razie uczucie i wyobraźnię (Żeromskiego) porwać powinien był przedewszystkiem błysk młodzieńczego, dziecięcego niemal bohaterstwa na tle „snobizmu wojennego" i, łamiącej wszelkie snobizmy tchórzowskiej paniki. Albo też — piękny wątek dramatyczny — *rozdwojenie psychiczne młodego robotnika*, między dwoma wrogiemi sztandarami, *z których każdy posiadł część jego duszy*. Zamiast tego" i t. d. (podkreślenie moje).

Drugie zdanie powyższej cytaty przeczytajmy raz i drugi, a potem zastanówmy się uważnie. Surowy sędzia byłby w stanie przeciwko proletarjatowi polskiemu wysunąć cały szereg ciężkich oskarżeń. Można tu mówić o zacofaniu ideologicznem, braku uświadomienia, poddawaniu się wpływom inteligenckiej romantyki — i politycznemu kierunkowi P. P. S. czy N. D. — Możnaby też rzeczy owe wyjaśniać historycznemi warunkami bytowania klasy robotniczej w Polsce.

Ale poddawać myśl — choćby w formie projektu literackiego, jak to czyni Bronowicz — robotnikowi polskiemu, uświadomionemu klasowo (bo przecież tylko na gruncie uświadomienia może naprawdę powstać dramat) jakiegoś hamletowego konfliktu, na gruncie wyboru między „dwoma wrogiemi sztandarami", w dniach gdy klasa robotnicza Europy przeżywała intensywny ferment rewolucyjny — to znaczy obracać się zupełnie w sferach przewrotnego sentymentalizmu. Wobec takich pomysłów bledną doprawdy perwersje, mistrza w malowaniu wszelkiego rodzaju sadyzmów moralnych, Żeromskiego.

Idźmy dalej. Mówiąc o „Turoniu", Bronowicz analizuje między innemi zakończenie dramatu, polegające jak wiadomo na tem, że powstaniec Hubert Olbromski, ucieka przebrany z obozowiska Szeli dzięki pomocy jednego z chłopców. Autor — bardzo ładnie i słusznie zresztą — występuje przeciwko niedostateczności tego rozstrzygnięcia ze stanowiska społecznego i logiki rozwojowej dramatu. Ale zarazem Bronowicz podaje taki oto własny projekt zakończenia. Przytaczam go w całości:

---

takim, jak Bronowicz, podobne operowanie analogjami graniczy z lekkomyślnością. Jeśli idzie o współczesną rewolucję proletarjacką, która ze względu na obszar w jakim się rozwija, cel i środki nie ma nic równego w dotychczasowej historji człowieka — to porównania z wypadkami z życia różnych narodów i narodków Europy — powinny być robione z największą ścisłością i ostrożnością.

„Bardziej zgodne z tragizmem sytuacji byłoby inne zakończenie: w duszy Huberta uratowanego z rąk chłopskich, rozegrać się mogła walka między ideją, której służył, a świeżem przeżyciem wojny klasowej, straszną śmiercią ojca i narzeczonej (której ocalenie jest w tym wypadku zbędne). W wyniku tej walki duchowej Hubert wraca w przebraniu do obozowiska chłopskiego, dostaje się do samego Szeli. Ma sposobność zemsty, ale przychodzi nie po zemstę. Daje się poznać. Nie chce być sędzią krwawego samosądu. który się dokonał. Pragnie poprzez tę rzekę krwi i głębszą od niej otchłań zadawnionej krzywdy przerzucić most między dolą chłopską, a ideją wolnej Polski.

Szela może (a nawet powinien) nic z tego nie zrozumieć i wydać „ciaracha" na śmierć. Byłoby to przecież rozwiązanie zgodne z duchem wielkiej tragedji i jej zasadniczym problematem".

Powyższy, bardzo zresztą inteligentny, pomysł dowodzi, iż Bronowicz czytywał Hebbla nie bez pożytku dla siebie. Ale prawdziwe zakończenie „Turonia" świadczy o czem innem. Żeromski nie pisał dramatu klasowego, dla umiejących inteligentnie marzyć, o „przeżyciach wojny klasowej" schöngeistów, ani dla żądnych tego rodzaju podrażnień intellektualnych snobinetek. Obojętne czy słuszność mieli ci z krytyków burżuazyjnych, którzy upatrywali w „Turoniu" proroczą aluzję do paktu lanckorońskiego. Natomiast faktem jest że Żeromski pisząc dramat w ten właśnie sposób opierał się na swem istotnem *wyczuciu* sytuacji burżuazji polskiej — na niezawodzącym go (przynajmniej w momentach najważniejszych rozstrzygnięć) instynkcie klasowym. Bronowicz dużo pisze o klasowości, ale instynktu tego nie posiada ani za grosz. Dlatego nie widzi rzeczy najprostszych i niewątpliwych.

Jeśli idzie o wojnę tak zwaną polsko-bolszewicką, to jej charakter klasowy w literaturze został udokumentowany aż nadto jasno dla każdego, kto umie czytać. Mówię o wspomnianych wyżej dramatach: Żeromskiego „Ponad śnieg" (1919 r.) i Sieroszewskiego „Bolszewicy" (1920 r.). Oba w gruncie tchną jednolitą ideologją obszarniczą — zamazaną i zwątpiałą u Żeromskiego; ostrą i zaczepną u Sieroszewskiego. Najważniejsze atoli jest samo postawienie sprawy: kto prowadzi walkę. I odpowiedź jest jasna bijąca w łeb: polski obszarnik z „kresów" ukraińskich czy z Kongresówki. A nie wadziłoby pamiętać o tem, że obaj ci pisarze to nie zdecydowana czarna reakcja, jak Weyssenhoff, ale kwiat wolnościowej inteligencji polskiej pierwszych lat XX wieku. To, co oni mówią jest chyba dość jasne i dość autorytatywne. Ale Bronowicz nie chce tu dostrzec brutalnej prawdy walki klasowej. Zato widzi dokładnie „odparcie bolszewików piersiami młodzieży od Lwowa, Płocka i Warszawy" (str. 55).

Na str. 21 Bronowicz określa stosunek autora „Przedwiośnia" do komunizmu i stwierdza: „Jest on bezwzględny i nieprzejednanie wrogi". Ale gdyby tak odpowiedź powyższą przenieść na cały stosunek Żeromskiego do proletarjatu — autor „Tragedji Pomyłek" byłby z pewnością nieprzyjemnie zaskoczony. A nie jest to komplikacja bardzo znów zawiła. Nie trzeba nadzwyczajnej biegłości psychologicznej by uznać, że najczujniejsze współczucie dla nieszczęść indywiduum, filantropja choćby w najszerszej — „narodowej" skali, da się pogodzić z duchem klasowym i z morzem nienawiści klasowej w duszy filantropa. Lecz Bronowicz widzi w Żeromskim: „wielkie serce w cierniowym gąszczu pomyłek". Takiemu sercu można naturalnie i warto pewne rzeczy tłómaczyć — pomyłki prostować.

A jednak czasby już może — choćby przynajmniej w krytyce operującej kryterjami klasowemi — zostawić w spokoju te wielkie serca litera-

tów kochające cały naród i cierpiące za miljony, zwłaszcza, że serca te mają w sobie komory oddane do dyspozycji bardzo określonych interesów. Ale Bronowicz jest zanadto gentelmanem by takie rzeczy dostrzegać. Dba on o *„fair play"*. Urękawiczniony pietyzm z jakim obnosi w swej książce owo wielkie serce Żeromskiego jest bardzo ładny — może wzruszający, ale zamyka mu do reszty możność wejrzenia w istotne ciaśniejsze zakamarki wielkiego serca.

Bronowicz przy pewnej okazji wyjaśnia zasadnicze nieporozumienia Żeromskiego i powiada w formie odkrycia: „Błąd leży, jak na dłoni: negowanie walki klas jako czynnika rozwoju".

Porozumiejmy się: negowanie walki klas jest dziś bardzo popularną postawą bojową *przeciwko klasie robotniczej*. Nie dostrzeże tego ten, kto nie chce. Jak nieostrożne i mało uzasadnione są wnioski faktyczne autora studjum o „pomyłkach" Żeromskiego świadczy następująca gaffa.

Po zanalizowaniu twórczości Żeromskiego, Bronowicz stwierdza, że gdy teraz „powrócimy do „Przedwiośnia" jesteśmy odrazu jak w domu i z niezmąconym humorem patrzeć możemy na „harce krytyków dokoła tej powieści". A pod adresem jednego z tych krytyków pisze: „Szczytem takiej poczciwej patryotycznej bufonerji jest pretensja p. Dębickiego (z Kur. Warsz.), żądającego od autora „Przedwiośnia" ni mniej ni więcej, tylko napisania „drugiej części tej powieści, „Wiosny" prawdziwej, budzącej wiarę, nadzieję i otuchę..." Ale czy humor autora jest w tym wypadku uzasadniony? Przypomnijmy sobie, iż Żeromski żądania Dębickiego spełnił, że śmierć zastała go właśnie w czasie pisania tej drugiej części powieści, żądanej przez krytyka z „Kurjera Warszawskiego". Stało się to dlatego, iż Żeromskim i tutaj powodował ów duch klasowy i obowiązek dania burżuazji choćby illuzorycznej wiary, nadziei i otuchy... „Niezmącony humor" Bronowicza, jeśli idzie o rozumienie Żeromskiego był nieco lekkomyślny. A jeśli będziemy mówić o bufonerji, to chyba nie u p. Dębickiego ją znajdziemy.

Sądzę, iż przytoczone wyżej przykłady — a możnaby ich przytoczyć dużo więcej — charakteryzują dostatecznie metodę pracy Bronowicza. Przynajmniej jeśli idzie o pewne zupełnie określone klasowe cechy utworów Żeromskiego — metoda ta ogranicza się do zamykania oczu. Poprostu to, co powinno być wyjaśnione i co z punktu widzenia klasowego jest właśnie najciekawsze, autor traktuje jako pomyłkę „wielkiego serca". I nie można tego uważać za szereg przypadków. Jest w tem szaleństwie metoda. Interpretacja nadana wypadkom 1920 r. — tchnąca idealizmem i to zamaskowanym fałszowanym idealizmem, jakiego przykład może dać tylko pseudomarksizm — świadczy o czemś istotniejszem, niż szereg potknięć możliwych do usprawiedliwienia przypadkowemi reminiscencjami nastrojów.

II

Nawet przy bardzo zewnętrznem zapoznaniu się z książką Bronowicza, uderza silnie odziaływanie myśli Stanisława Brzozowskiego. (Na 127 stronach Brzozowski cytowany jest wprost lub pośrednio kilkanaście razy). Przytem Bronowicz posiłkuje się Brzozowskim nietylko jako najbystrzejszym z krytyków literackich piszących o Żeromskim. Mówiąc o analizie prądów umysłowych, panujących w ostatnim stuleciu w Polsce, autor stwierdza wyraźnie:

> „Należałoby podjąć pracę tam, gdzie ją pozostawił Stanisław Brzozowski, uwzględniając doświadczenia ostatniego dziesięciolecia i stosując ściślej i twardziej, niż to czynił Brzozowski metodę społeczno-historyczną". (str. 111).

Słowa powyższe można więc uważać za określenie zadań postawionych sobie przez Bronowicza w jego pracy. Pod niewyraźnym trochę terminem „metoda społeczno-historyczna" autor rozumie chyba materjalizm historyczny, który Brzozowski, mniejsza w tej chwili o to z jakiem powodzeniem, stosował do badania tych właśnie prądów kulturalnych. Nie ulega wątpliwości, że podjąć czyjąś pracę i prowadzić ją dalej można tylko wtedy, jeśli w pracy tej, w jej założeniu tkwi określony cel — jest wytknięty dalszy kierunek, zgodny z tendencjami tego, kto dalej ową pracę myśli prowadzić. Jak więc wygląda kierunek ten u Brzozowskiego?

Brzozowski myślicielem społecznym we właściwem znaczeniu, a przynajmniej samodzielnym teoretykiem, nie był. Jego metody nie są nawet czysto publicystyczne: stanowił on raczej coś w rodzaju cywilnego kaznodziei inteligencji polskiej. Marksizm wzięty przeważnie z drugiej i trzeciej ręki, zwłaszcza od Sorela — służy mu, jako mistyczny poprostu środek dopingu moralnego, stosowanego do tejże inteligencji. Jeśli idzie o stosunek do marksizmu, to najcharakterystyczniejsze było tu „pogłębienie" i „rewidowanie" doktryny, z wyraźnemi tendencjami idealizmu etycznego.

Za wzorem Sorela Brzozowski stosuje metodę marksowską do materjału historycznego, przeżywanego pod kątem widzenia określonej tradycji. Te perypetje ideologiczne są bardzo ciekawe i niekiedy sięgają głęboko. Zresztą na zajmowanie się całokształtem stosunku Brzozowskiego do zasad materjalizmu dziejowego tu niema miejsca. Chciałbym tylko zwrócić uwagę na jeden punkt kapitalny—stosunek Brzozowskiego do teorji walki klas. Najlepiej może wyraził się ów stosunek w jednem ze studjów zamieszczonych w „Głosach wśród nocy". Brzozowski pisze tam między innemi, wyjaśniając stanowisko syndykalizmu: „Klasa robotnicza ma wszelki interes, aby każda grupa społeczna, o ile jest ona czynnikiem narodowym, wywiązała się ze swej roli jak najświadomiej i najpełniej"... Aby zaś usunąć pewne obawy, narzucające się przy takiem pojmowaniu współczesnej rzeczywistości burżuazyjnej, Brzozowski dodaje następującą uwagę:

> „Niewątpliwie przyrost charakteru w klasie rządzącej może zaostrzyć tu i owdzie warunki walki robotniczej: naogół jednak jest w interesie tej klasy, aby pozycje w tej walce określane były przez rzetelny stosunek sił".

Takie postawienie sprawy jest zresztą wynikiem konsekwentnym pojmowania historji jako nieustannego starcia sił moralnych. Ale tu niespodzianie dochodzimy do ciekawego odkrycia: dla Bronowicza, jak to uwydatniłem wyżej, przebieg rosyjskich wojen rewolucyjnych, jest również przedewszystkiem turniejem sił moralnych. Jeśli porównamy usilne podkreślanie przez Bronowicza znaczenia narodowego rewolucji rosyjskiej z innemi jego koncepcjami — staje się jasne owo uporczywe niedostrzeganie klasowej strony utworów Żeromskiego, czego przykłady podałem wyżej. Klasowość dla Bronowicza (podobnie jak dla Brzozowskiego) stanowi nie czynnik samoistny walki proletarjatu, ale funkcję życia narodowego. Aluzji do takiego właśnie rozumienia czytelnik znajdzie na stronicach książki Bronowicza dosyć dużo.

Mimochodem zauważmy, że stanowisko Brzozowskiego w przytoczonych wyżej cytatach ma swoje ukryte ostrze antyproletarjackie. Klasa uciśniona, pozostająca na niskim poziomie życia i przynajmniej w olbrzymiej większości odsunięta faktycznie w państwach burżuazyjnych od funkcji społecznych i rządowych, może się dostać do władzy tylko na skutek daleko posuniętego rozkładu wewnętrznego klas panujących. Naturalnie rozkład ten uwarunkowany jest przyczynami objektywnemi — ogólnym rozpadem ekonomiki, upadkiem dobrobytu, przewlekłym, a nie dającym

możności wybrnięcia kryzysem i t. p. Ale można też przewidywać — i tak się dzieje naprawdę — że klasa panująca nie zatraci tego, co Brzozowski nazywa charakterem—i władzy z rąk nie puszcza, lecz wyzyskuje wszystkie dostępne jej środki i rutynę panowania, aby się przy niem utrzymać. Wtedy to występuje na scenę historji stołypinjada albo mussolinjada dostarczająca możności gołego panowania, nieokrytego żadną legalnością, dopóki żywiołowy krach nie usunie podstawy władzy z pod nóg. Dlatego mimo reweransu w stronę klasy robotniczej („równa gra, panowie") stanowisko Brzozowskiego jest wyrazem skrytej wrogości. W walce klasowej nie zwycięża się nigdy w równej grze.

Tego klasowego charakteru poglądów autora „Idei", Bronowicz również widzieć nie chce i przyjmuje, z dobrodziejstwem inwentarza, wszystkie społeczno-historyczne konstrukcje Brzozowskiego. Najwydatniejszą z nich jest pogląd na rolę inteligencji szlacheckiej pierwszej połowy XIX wieku — a szczególnie tej elity emigracyjnej, która tworzyła w okresie lat 1831—50 literaturę i politykę. Brzozowski jak wiadomo, odrywa ową elitę od właściwego gruntu szlacheckiego — i Bronowicz z zapałem podchwytuje tę o tyle efektowną, o ile mało uzasadnioną koncepcję.

Oddzielanie elity intelektualnej szlacheckiej od gruntu szlacheckiego i uważanie jej za element zasadniczo zdeklasowany jest historycznie i ekonomicznie rzeczą wprost absurdalną. Owe kilka tysięcy ludzi: literaci, politycy, uczeni, oficerowie, cała ta masa, nigdy nie była i nie mogła być w takim stopniu oderwana od swej bazy ekonomicznej — w przeciwnym razie działalność jej byłaby się rozwiała bez pozostawienia śladu. Że ów element przodujący nie reprezentował średniego poziomu szlachetczyzny, że politycznie był daleki od niej naogół, dyplomatyzował z rewolucją, radykalizował, a nawet rewolucjonizował, na zachodzie Europy zwłaszcza, nie ulega zaprzeczeniu. Ale jako masa nigdy swego instynktu klasowego nie zatracał. „Próżnia międzyklasowa", do której Bronowicz hurtem pakuje wszystkie wysiłki radykalnej inteligencji jest ładnem ale beztreściwem pojęciem. Zwłaszcza, iż Bronowicz sam stwierdza przecież brak sformowanego dojrzałego życia klasowego w Polsce poza szlachtą. Historja takich próżni międzyklasowych nie zna i ci szlachetni idealiści, pozornie oderwani od życia ogółu szlacheckiego spełniali tylko, przyznajmy w bardzo ciężkich warunkach, rolę awangardy klasowej — szlachty polskiej naturalnie. Szlachta ta dyskontowała ich powodzenia i ogół szlachty płacił za ich pomyłki. Gdyby Bronowicz nie pozwolił się zahypnotyzować efektownym teorjom Brzozowskiego, lecz trzymał się mocno marksizmu, nigdyby takich pojęć — nieporozumień nie wprowadzał.

Koncepcja powyższa była zresztą Brzozowskiemu niezbędna, gdyż jego inteligencki syndykalizm potrzebował preparowanej w ten sposób międzyklasowej genealogji współczesnej inteligencji polskiej. Dlaczego Bronowicz idzie jego śladem i puszcza się na takie podejrzane improwizacje? Pytanie to ma zresztą znaczenie czysto retoryczne — Bronowicz bowiem prowadzi tu zasadniczą linję swoich wywodów maskując ich treść antymarksowską, częstem powtarzaniem słów „klasa", „klasowość", „klasowy" i t. d. Istotny błąd polega tu na fikcyjnym podziale przedstawicieli dążeń jednej klasy na dwa obozy społeczne, przyczem brak istotnych różnic społeczno-gospodarczych łata się, zastępuje się podziałem „moralnym" na dobrych i złych, filantropów i okrutników, idealistów i pasibrzuchów, Olbromskich i Chwalibogów — mówiąc za autorem.

Ten wulgarny podział stosowany był zresztą oddawna w Polsce przez pseudoradykałów różnego autoramentu. Trzeba zresztą przyznać, iż powtarzając za panią matką pacierz, Bronowicz usiłuje jednak korygować le-

gendę, co mu się słabo udaje dlatego, że sam pozostaje pod jej przemożnym wpływem. Autor nasz, stwierdziwszy brak sformowanego, dojrzałego życia klasowego w Polsce poza szlachtą, pospiesza wspaniałomyślnie zdjąć z niej winę. „Z moralizatorskim stosunkiem do historji trzeba raz skończyć". Słusznie — chociaż stwierdzanie tego trąci komunałem. Ale w pracy swojei autor zupełnie się poddał specyficznej, familijnej manierze w jakiej pisze się w Polsce historję kraju.

W wyniku osobliwego przebiegu życia historycznego kraju, zgniecenia niemal zupełnego politycznego i ekonomicznego innych klas przez szlachtę, mamy w Polsce do czynienia z jedną tylko klasą, która sama tworzy lub podporządkowuje sobie kulturę i sztukę, sama jedna ma monopol na świadomą politykę. Niewątpliwie między różnymi odłamami szlachty zachodziły pewne różnice polityczne (np. między demokratami lub czartoryszczykami), mniej więcej na gruncie naturalnego konfliktu między wielkimi latyfundjarjuszami, a średnimi właścicielami czy dzierżawcami folwarków. Ale to nie były różnice, które mogły prowadzić do walki. Cel był wspólny a zróżnicowanie polityczne odbywało się częstokroć raczej na tle różnic temperamentów.*) Niema tu nawet właściwie wychodźtwa klasowego z klasy szlacheckiej — bo niema poprostu gdzie wychodzić. Ważne jest to, że jako aktywna, polityczna, świadoma siła istnieje tylko jedna klasa.

To, że w obrębie tej klasy znajdują się żywioły czynniejsze i mniej czynne jak powiada Bronowicz „osamotnieni bohaterowie" oraz „tchórze, pasibrzuchy i wydrwigrosze", to są bardzo drugorzędne rozróżnienia natury raczej familijnej, które mogą interesować heraldyka ale nie pisarza społecznego. Bronowicz dostrzega wybornie pewne przesłanki, ale od wyprowadzenia należytych wniosków chroni się układaniem bajeczek o próżni międzyklasowej. Dlaczego? Aby ocalić tradycję narodowej „podniebnej reduty". Idzie tu śladami nietyle już Brzozowskiego, ile Feldmana, generalnego pachciarza szlacheckiego romantyzmu, a również wroga pozytywizmu (nie myślę bynajmniej bronić warszawskiego pozytywizmu), ale doprawdy to padanie plackiem — z rzekomemi zastrzeżeniami — przed owym nieco podejrzanym a już z pewnością mocno prowincjonalnym, „Olimpem romantyzmu" polskiego *) i nienawistne kopanie wszelkiej przeciwstawiającej mu się ideologji staje się niemądre, a w końcu nudne).

A na tych patrjotycznych, kochających lud, przodowych szlachciców również możnaby spojrzeć z innego cokolwiek punktu widzenia. W analo-

---

*) Charakterystyczne jest występowanie polityki rodzinnej w dziejach np. powstań. Jeden z Radziwiłłów był w roku 1831 naczelnym dowódcą wojsk polskich, a inny adjutantem Paskiewicza podczas zdobywania Warszawy. To samo w okresie 1862—63 r. w rodzinie jednego z dzisiejszych wybitnych mężów stanu, co nawet podniosła wroga mu prasa. To nie są rzeczy przypadkowe. Rzecz jasna, iż mamy tu do czynienia ze swojego rodzaju asekuracją rodzinną na dwa fronty i nie trzeba myśleć, że są to wyjątkowe wypadki. Wyjaśnia to między innemi zadziwiającą trwałość szlachty. Kolosalne represje polityczne rządu carskiego w pewnej mierze okazywały się fikcyjnemi, właśnie dzięki tej polityce rodzinnej.

*) „Genjusz tych, co zdołali nad pustkowiem życia stworzyć podniebną redutę, gdzie wybrańcy mogli pełną oddychać piersią, wytrzymuje porównanie z dziełem (z podobnych warunków zrodzonem) myślicieli aleksandryjskich i pierwotnego chrześcijaństwa. Stać będzie ta piramida ducha nad narodzeniem i śmiercią wielu w Polsce pokoleń, jak kamienne wały starożytnego Egiptu" (str. 114). Już to szerokiego rozmachu i panegirycznego frazesu nigdy w Polsce nie zabraknie.

gicznych stosunkach rosyjskich charakterystyczne światło rzuca na te rzeczy wypadek z dekabrystą Jakuszkinem. Jakuszkin po powrocie z podróży na Zachód, przejęty ideami liberalnemi, postanowił przywrócić wolność osobistą swoim poddanym. Po odczytaniu zebranym chłopom odpowiedniego aktu, Jakuszkin spodziewał się jakichś nadzwyczajnych objawów uciechy i wdzięczności. Nic podobnego. Chłopi, przygnębieni widocznie nowiną, stoją milcząc, ponuro przez dłuższy czas. Wreszcie jeden z nich wysunął się naprzód i zapytał: „A co będzie z ziemią". Cóż się okazuje. Chłopi mieli specyficzną teorję prawną, wedle której ziemia cała należała do nich, a tylko oni osobiście byli własnością pana. W niespodziewanem nadaniu im wolności skłonni byli widzieć zakusy wywłaszczeniowe. Teorja ta człowiekowi o liberalnych poglądach musiała wydać się czemś potwornie poniżającem, niewolniczem, ale niemniej wypływała ona ściśle z interesów gospodarczych chłopa w ustroju pańszczyźnianym. Odwrotną interpretację w swoim interesie (ziemia cała po uwolnieniu chłopów z poddaństwa należała do dziedzica) wysuwała szlachta. O zastosowaniu tej zasady w czasach Księstwa Warszawskiego, pisze Bronowicz.

Bezsprzecznie pewna część szlachty (zarówno w Polsce jak i w Rosji) zwalczała przeżyty już gospodarczo feodalizm pańszczyźniany. Byli to najrozumniejsi i najlepsi przedstawiciele swej klasy — ale zarazem przedstawiciele *dalej patrzącej polityki klasowej*. Wierzyli oni nieobłudnie, iż mają na celu idealne dobro całej ludzkości. W danym przytoczonym przezemnie przykładzie Jakuszkina trudno pomawiać o obłudę. Był człowiekiem odważnym i bezinteresownym — udział w spisku dekabrystów przypłacił 30 latami Syberji. Ale tacy właśnie ludzie szeroko, swobodnie na swój czas myślący, umiejący odrzucić doraźny osobisty interes — są zawsze czołowymi przedstawicielami swej klasy. A już bezwzględnie są lepszymi obrońcami jej jutra, niż zacietrzewieni w wyzysku okrutnicy i tyrani. Gdyby burżuazja i obszarnictwo dysponowali tylko Chwalibogami i Połanieckimi — położenie ich byłoby znacznie gorsze. Ratują ich najczęściej Czarowice i Olbromscy. I to jest robota w ich guście zalepiać zupełnie jasne tendencje klasowe „ideją ojczyzny", garnirowaną w dodatku przez Bronowiczów „klasowemi" kwiatkami.

Bronowicz nie posiada się z cnotliwego oburzenia stwierdzając, że „dzisiejsi hreczkosieje i właściciele stajni wyścigowych" „nie mają prawa przystrajać się w glorję bojowników walk niepodległościowych". Otóż właśnie, że mają zupełne prawo. Prawo choćby z racji przynależności do wspólnego zbiorowiska klasy. I tak jest zawsze. Robotnicy również mają wśród siebie elementy przodujące, energiczne, dzielne oraz — elementy zacofane, tchórzliwe, ospałe, przeszkadzające wszelkim akcjom masowym. I u robotników najczęściej do walki występuje awangarda, pociągając za sobą nieraz z wielką trudnością żywioły ospałe. Ale jeżeli w wyniku tych walk poprawia się sytuacja robotników czy to w całym kraju czy też danym ośrodku lub gałęzi przemysłu — korzyść stąd odnoszą wszyscy robotnicy — zarówno żywioły przodujące jak i zacofane, bierne, — ba, nawet ci, którzy może łamali akcję strajkową. Ba, nawet bardzo często, przy połowicznem zwycięstwie jak to bywa np. gdy udana akcja ekonomiczna wywołuje falę represji politycznych, ci przodownicy opłacają zwycięstwo śmiercią, ranami, więzieniem, chwilową porażką organizacji, które prowadziły walkę, a najlepiej stosunkowo wychodzą ci, którzy nie wysuwali się naprzód. Ale tu nie idzie przecież o abstrakcyjną sprawiedliwość. Gdy w grę wchodzi kolektyw klasa, względy indywidualne stają się drugorzędne — kolektyw ma swoje prawa działania, które decydują.

Bronowicz tych zupełnie elementarnych rzeczy nie odczuwa. Na każdym kroku natomiast wysuwa fikcję ojczyzny panującej nad interesami klasowemi.*) Do tego pomaga mu cały szereg perfidnych wprost wywodów i poddawanie się najdzikszym suggestjom (rok 1920). Trudno rozpatrzyć szczegółowo to wszystkie świadome i nieświadome fałsze, przeoczenia, niedociągnięcia. Warto jednak odnotować najcharakterystyczniejsze ustępy o rewolucji rosyjskiej — konsekwentnie przylegające do tego co autor opowiada o Polsce.

A więc autor z lubością podkreśla kapitalistyczny — poza upaństwowieniem wielkiego przemysłu — charakter gospodarki sowieckiej.

„Pozatem cały mechanizm społeczeństwa kapitalistycznego doznał zmian stosunkowo nieznacznych i funkcjonuje naogół w ten sam sposób, co w reszcie świata. Ramy ustawodawcze ekonomiki sowieckiej (kodeks cywilny, ochrona pracy, opieka społeczna i t. d.) pomimo licznych inowacji, nie stoją zasadniczo w sprzeczności z kodeksami innych krajów' (str. 83).

Z „analizy" swojej autor, starannie wyczyszcza pierwiastki społeczne rewolucji rosyjskiej.

...„stawiam tezę, że rewolucja rosyjska, pomimo swych haseł kosmopolitycznych jest, przynajmniej w fazie obecnej, przedewszystkiem rewolucją narodową przeciwko nowożytnemu feodalizmowi finansowemu. *Nie jest to rewolucja społeczna*, przewidziana przez Marksa, jako następstwo szczytowego uprzemysłowienia i koncentracji kapitału, lecz bunt krajów eksploatowanych" i t. d. (str. 86). (Podkreślenie moje).

Ogólną tendencją jest aby jaknajszczelniej pokryć komunistycznego tygrysa skórą narodowego barana. W zapale ani się spostrzega, jak reszta ornamentacyjnej klasowości ulatnia się z jego wywodów.

Oto określenie partji komunistycznej w Rosji: „Najbliżej istoty rzeczy będzie, gdy powiemy, że jest to zakon świecki o surowej regule i żelaznej dyscyplinie". Sądy podobne bardzo często zdarza się spotkać u dyskredytujących komunizm publicystów. Jeżeli mówi to człowiek cokolwiek otarty o marksizm (a takich między współczesnymi publicystami nawet burżuazyjnymi jest sporo) to cel jest jasny — oskarżenie komunistów o sprzeczność między materjalistycznym programem, a sekciarską jakoby treścią istotną. Ale Bronowicz robi to naiwnie, jak pensjonarka, która w najlepszej wierze powtarza zasłyszany gdzieś tłusty dwuznacznik, nie podejrzewając jego istotnego znaczenia. Pomimo wszystko nie wiadomo czy śmiać się, czy wzruszać gdy autor starannie podnosi każde idealistyczne łajno, rzucone na ustrój sowiecki, i — lepi z tego... apoteozę.

Rzecz naturalna, iż po takiem przygotowaniu gruntu analiza współczesnej rzeczywistości w Polsce jest niemniej osobliwa. Pomimo zastrzeżeń

*) Pojęcie ojczyzny *zawsze* może się stać narzędziem klasy dzierżącej władzę. Świetnym tego przykładem jest kierunek rosyjskich „smienowiechowców", sformułowany w r. 1921, lecz w praktyce istniejący daleko wcześniej. Suggestja słowa „ojczyzna", potężna zwłaszcza wśród elementów pośrednich, wahających się, czasem wprost neutralnych w walce klasowej, pozwala im skupić się koło każdego rządu trzymającego władzę w rękach — zarówno burżuazyjnego jak i—tego dowodzi przykład „smienowiechowców"— proletarjackiego. Ale najważniejszem bodaj zadaniem jest wyrywanie poszczególnych jednostek z obozu przeciwnego. W wojnie domowej 1918—21 najwybitniejsze autorytety wojskowe armji carskiej walczyły z białą gwardją właśnie w imię ojczyzny. A ileż mamy przykładów wprost przeciwnych, gdy burżuazja rozrywa jednolitość proletarjatu hasłem ojczyzny. Trzeba dużo ostrożności w używaniu takich gutaperkowych pojęć nadających się do każdej interpretacji. Do takich pojęć należy też osławiona „niepodległość".

natury raczej formalnej Bronowicz ze swojego punktu widzenia affirmuje i romantyzm i szlachecki radykalizm XIX wieku.

„Daleki jestem od pomniejszania jej zasług. Radykalna inteligencja szlachecka dokonała w dziedzinie myśli rzeczy, w danych okolicznościach istotnie niezwykłych, w dziedzinie czynu — wręcz wielkich i bohaterskich" (str. 97). „Ukazanie we właściwem świetle pochodzenia i funkcji dziejowej romantyzmu polskiego nie pomniejsza go, lecz wyolbrzymia" (str. 114).

Przypuśćmy — ale kto te piękne rzeczy dyskontował? Ludzie ci stworzyli przecież duchowo dzisiejszą Polskę. Romantyzm był wielki, genjalny; szlachta radykalna, bohaterska, wspaniałomyślna, oświecona i... międzyklasowa. A co dzisiaj: tępienie ruchu robotniczego, bezmyślne prześladowania religijne (ot choćby niedawno istna dragonada w Jastkowicach) narodowościowe i t. d. i t. d. Jak się to stało? Bronowicz może odpowiedzieć, że wszystkie te piękne wysiłki romantyzmu, zapadły się w jego próżnię międzyklasową, niby w wielki kanał odchodowy — bez rezultatu. Ale z tą próżnią jak powiedziałem wyżej zgodzić się trudno.

Jest w polskim języku słowo „tromtadracja", używane też jako określenie pewnego sposobu działania intelektualnego. — Kiedy pozycja zwłaszcza wskutek silnego załgania staje się niemożliwa, zaczyna się nadrabianie krzykliwym frazesem. Zresztą Brzozowski był w dziedzinie tromtadracji mistrzem, i poniższy ustęp jest niby z rzeczy jego wyjęty.

„W ten sposób z poręki możnych przyjaciół... w rozkosznem poczuciu nieodpowiedzialności za własną przeszłość, rozsiadł się pan Stach Połaniecki w fotelu ministerjalnym, a pan Podfilipski ujął w dystyngowane dłonie losy ojczyzny na forum międzynarodowem. Pan Zagłoba został senatorem i rad opowiada, jak to on fortelami ojczyznę z opresji wybawił. Dokoła nich rój Rzędzianów..."

Mamy więc nowe wyjaśnienie. Tamci: romantyczna i radykalna szlachta uplanowali sobie Polskę jaknajwspanialej i dążyli do niej w krwi i pocie. Ale cóż się stało? W odrodzonej ojczyźnie pierwsze miejsca zajęli i popsuli ich szlachetną pracę aferzyści w rodzaju Połanieckiego i niebieskie ptaki à la Zagłoba — oraz towarzyszący im Rzędzianowie. Trudno o coś bardziej naiwnego, nawet jako symbol. Możnaby sobie wprost wyobrazić, że skoro się wygna aferzystów i niebieskich ptaków, a miejsca ich zajmą figury z pierwszej połowy XIX w. odrazu wszystko się zmieni i nastanie raj romantyczny.

Należałoby chyba radykałom z „Głosu Prawdy"*) pozostawić biadania, że niema tamtych szlachetnych i szlacheckich radykałów. Byli i są — a widzimy tylko normalną realizację utopionego ideału „międzyklasowości" romantycznej. Umiejmy go poznać w jego czystej klasowej postaci. Jeżeli byłoby pracą wątpliwą wiązanie idei Mickiewicza z dragonadą jastkowicką, lub też myśli Żeromskiego czy Wyspiańskiego z prześladowaniami mniejszości — to jednak myślę, iż miejsce dla Połanieckiego dałoby się znaleść w świecie Mickiewicza — a i być może poszukawszy dłużej — odnajdziemy Zagłobę w Żeromskim.

Bezsprzecznie jako studjum literackie „Tragedja pomyłek" jest robotą bardzo ładną, choć dowolnie traktowaną — posiada wiele myśli bardzo inteligentnych. Niezawodnie owa marzycielska motylkowatość teoretyczna, feljetonowa łatwość syntezy, posiada dla czytelnika pewien zniewalający wdzięk. Lecz operując pozornie kategorjami klasowemi — autor nie chce zrezygnować za nic z owych „wzlotów ducha" (i frazesu) będących

*) Przypominam, że artykuł niniejszy pisany był w marcu 1926 roku.

specjalnością romantyków, stwarzając przykrą i dysonansową mieszaninę sprzecznych metod myślenia.

A przecież jako pisarz i jako światopogląd Żeromski przedstawia ze stanowiska marksowskiego materjał wyjątkowo bogaty i w zasadniczych linjach bardzo wyraźny. Ale Bronowicz przechodzi do porządku nad brutalnemi przejawami walki klasowej ze strony omawianego pisarza. (Myślę, iż mało który z pośród wybitnych pisarzy europejskich walczył z prądami rewolucyjnemi tak brutalnie i ostro jak Żeromski). Zamiast jasnego, niedwuznacznego postawienia sprawy na właściwym gruncie, Bronowicz woli, nadrabiając frazesem komponować — zbliska wcale znów nie tak tragicznie wyglądające — tragedje starych Chrystusów literatury narodowej, których n. b. nikomu nie chciało się dręczyć i zabijać. Przeżyli oni lata w spokoju i czci ogólnej — a opozycja przeciw nim w najgorszym razie wyrażała się mniej lub więcej grubem łajaniem.

Romantyczne rozdarcia i fermenty, łzy i bolesne podrażnienia wszechludzkiego sentymentu — wszechludzki idealizm i wrażliwość współczucia — toż to stałe rekwizyty „duchowe" teatru dziejów pokrywające z reguły każdą podobną do tej co zaszła w Polsce w ostatnich latach robotę klasową. I robota ta jest solidniejsza wewnętrznie, niżby się wydawało, sądząc z powierzchownych i sporadycznych nieporozumień jej twórców. Przyznanie takie nie jest pesymizmem, ale jasnem zdawaniem sobie sprawy z rzeczywistych przebiegów życia społecznego w Polsce. Ci, którzy po drugiej stronie barykady usiłują tragizować owe poszczególne rozdarcia i sentymentalizmy, mimowoli stają się aktorami znacznie niebezpieczniejszej *komedji pomyłek*, pokrywając główną pseudo - tragiczną mistyfikację.

Dodatnią stroną pracy Bronowicza może być wydobycie na jaw pewnych zależałych wpływów myślowych i, dzięki niezaprzeczonemu talentowi autora, wyprowadzenie ich na względnie jasne światło konkretnego systemu. I w tem obnażeniu zasadniczych nieporozumień ideologicznych — może być duży choć negatywny pożytek tej książki.

Andrzej Stawar.

KSIĄŻKI

Roman Rybarski. — Naród, Jednostka i klasa. — Nakł. Geb. i Wolffa. — 1926, str. 276.

Znany publicysta endecki, p. Roman Rybarski, wydał grubą książkę. Pomimo dość krzykliwie wysuwanych na wstępie pretensji do naukowości, książka ta jest właściwie endecką broszurą agitacyjną.

P. Rybarski bardzo mocno nie lubi tego, co nazywa ideami wieku XVIII-go. Do tych idei zalicza on racjonalizm, liberalizm i indywidualizm. W życiu praktycznem zgubny wpływ tych idei ujawnia się przez demokratyzm, przyznający równe prawa wszystkim obywatelom, przez wysuwanie na czoło nauki zamiast wiary, przez łatwą rozerwalność małżeństwa — i inne tym podobne okropności.

Na szczęście jednak dla świata już to wszystko ma się ku końcowi. Rozdział pierwszy dzieła p. Rybarskiego zatytułowany jest: „Kryzys idei XVIII-go wieku".

„Metafizyka odzyskała stracone pozycje— uspokaja nas p. Rybarski. — Był czas, kiedy uważano, że nauka, w zupełności zastąpi pierwiastki religijne. Dzisiaj poważni badacze z zakresu nauk ścisłych nie zapędzają się w kierunku tępienia wierzeń religijnych" (str. 15). — „Dzisiaj różne żywioły radykalne, nawet socjalistyczne, podobnie jak niegdyś Comte, zaczynają poszukiwać religji. Ruch ten jest ogromnie charakterystyczny dla niemieckiego socjalizmu, gdzie coraz więcej pisarzy poświęca swoją uwagę rewizji dotychczasowego, czysto negatywnego, stosunku do religji". (str. 18). „Te sfery, które hołdowały ciasnemu materjalizmowi, dzisiaj mają skłonność do spirytyzmu". (str. 37), — zapewnia p. Rybarski, mając prawdopodobnie na myśli „radykałów", zwanych teraz także obozem sanacji moralnej.

P. Rybarski zastanawia się między innemi nad przyczynami dużej liczby samobójstw: „Społeczeństwa weszły w stan chronicznego kryzysu i niezadowolenia, niecierpliwości, i to jest właśnie główne źródło samobójstw". — Oczywiście chronicznemu kryzysowi i niezadowoleniu winne są przedewszystkiem te paskudne idee wieku XVIII-go, gdyby nie one, ludzie byliby cierpliwsi, bo spokojnie umieraliby z głodu i statystyka nie notowałaby codziennie długiej listy samobójstw. — I dalej powtarza p. Rybarski za Durkheimem: „Funkcje ekonomiczne w dzisiejszych społeczeństwach zajęły miejsce nieproporcjonalnie wielkie; zapchnęły one na dalszy plan funkcje wojskowe, administracyjne, religijne". (str. 72).

Słowem pod wpływem idei XVIII-go wieku ludzie stali się wstrętnymi egoistami. Każdy myśli tylko o najedzeniu się i o swoich własnych interesach. Kłamią ci, którzy bronią nibyto praw jednostki. — „W rezultacie chodzi tu nie o prawa jednostki, lecz o interesy jednostek" (str. 49), woła z oburzeniem p. Rybarski i zdanie to każe drukować kursywą.

Na to wszystko zło, niema innej rady, tylko trzeba uidealnić społeczeństwo, przekonać je, aby mniej myślało o poziomych sprawach ekonomicznych.

„Niepodobna uregulować życia gospodarczego — stwierdza p. Rybarski — nie wprowadzając w nie wartości pozagospodarczych, innych motywów działania, niż bezpośredni interes gospodarczy jednostki, nie wprowadzając hamulców, które powstrzymują rozpętanie tego egoizmu. Jeżeli więc obniża się znaczenie wartości religijnych, moralnych, wogóle wartości duchowych, jeżeli ludzie są przedewszystkiem przesiębiorcami, kapitalistami, robotnikami, a w małym stopniu czują się członkami narodu — to wówczas „prawa jednostki" w dziedzinie gospodarczej prowadzą do anarchji". str. 60).

Na szczęście Polska nie znajduje się w pozycji tak rozpaczliwej, ponieważ posiada endecję, która reprezentuje ten panujący ponad klasami idealny interes narodowy. Endecja bowiem zgoła nie jest partją, ani stronnictwem — to czysta emanacja ponadpartyjnego i ponadklasowego ideału narodowego. P. Rybarski wprawdzie nie umie określić, czem jest naród, ale też i nie uważa tego za potrzebne. To wartość irracjonalna — nie poddająca się żadnym określeniom. Tylko endecja w każdym poszczególnym momencie wie, gdzie jest duch narodu i dokąd on zmierza — podobnie jak tylko kościół katolicki wie zawsze, jaka jest w dziejach wola Boża, choć woli tej zgoła określić niepodobna.

Jeśli zaś p. Rybarski raczy zniżyć się do poziomu określeń, to produkuje takie rzeczy:

„Naród jest wspólnością, która swoją indywidualność zaznacza w różnych dziedzinach, jest pierwiastkiem twórczym, który wszystkie sfery życia duchowego i materjalnego chce ogarnąć, chce stworzyć z wszelkich dostępnych sobie materjałów wartości narodowe" (str. 248).

Słowem — naród jest pierwiastkiem twórczym, który stwarza wartości narodowe. Osioł jest pierwiastkiem twórczym, który stwarza wszędzie wartości ośle.

Ale to nas zatrzymywać nie może, ponieważ znajdujemy się w dziedzinie wartości irracjonalnych, nie poddających się rozumowemu określeniu.

Tak pojęty naród musi być gospodarzem w swojem państwie. Wprawdzie Rzeczpospolita posiada jakieś tam mniejszości narodowe, ale — „jeżeli chcemy z Polski zrobić państwo narodowości, jaką konkretną ideę możemy wskazać różnorodnym masom, do którejby one były przywiązane?" — zapytuje z rozbrajającą zaiste szczerością p. Rybarski? (str. 244).

W państwie, rządzonem absolutnie, „podstawą jego funkcjonowania jest np. przywiązanie do panującej dynastji. W innem podstawą jest religja, którą reprezentuje klasa rządzących kapłanów" (str. 144).

W Polsce taką podstawą może być tylko „wspólność narodowa", której wcieleniem oczywiście jest endecja. — P. Rybarski jednak nie posuwa się tak daleko, aby mówić o „przywiązaniu" t. zw. mniejszości narodowych do endecji. Nie probuje nawet podać sposobów rozbudzenia tego przywiązania, a wzoru dla ustroju Polski szuka w przedwojennem państwie węgierskiem, które „jakkolwiek Węgrzy byli nawet w mniejszości pod względem etnicznym, było państwem narodowem" (str. 239).

Polak Węgier dwa bratanki i do korda i do szklanki.

Piszę te słowa niemal na byłej granicy węgierskiej i mam przed oczyma takie przykłady. Miasteczko Jasina za czasów narodowego państwa węgierskiego nazywało się oficjalnie Körösmezö, a miasteczko Ruska Polana — Havasmezö. — Niewdzięczna ludność słowiańska zgoła nie ujawnia tęsknoty po tem „państwie narodowem".

Pod koniec swego dzieła p. Rybarski podaje trzy następujące zasady, na których winno się oprzeć życie polityczne narodu:

1) Dobro narodu jest najwyższem dobrem społecznem, podstawą organizacji życia zbiorowego;

2) inne skupienia wewnątrz narodu są tylko częściami całości i należy je traktować jako części;

3) podstawowe idee narodowe muszą być przyjęte przez wszystkich, nikomu nie wolno ich kwestjonować, ani też podrywać istotnych warunków życia narodowego" (str. 265).

Tylko tyle!

Jest to próba stworzenia czegoś w rodzaju religji narodowej, której najwyższem kapłaństwem byłaby oczywiście endecja. Jak wszystkie religje stara się ona tak zagadać czytelnika, aby stał się człowiekiem wierzącym. W danym wypadku wiara jest nieskomplikowana. — „Społeczeństwo musi wierzyć, — twierdzi z całą szczerością p. Rybarski, — że ci, którzy prowadzą politykę, rządzą się tylko publicznym interesem" (str. 271).

Bynajmniej. — Nietylko nie nowe, lecz już mocno przestarzałe.

Przedewszystkiem przypomnieć należy, że pojęcie narodowego państwa burżuazyjnego jest dziecięciem tej samej rewolucji francuskiej, od której z taką nienawiścią odgranicza się p. Rybarski. Próby organizowania religijnego kultu narodu także stamtąd pochodzą. Racjonalizm i irracjonalizm, między któremi p. Rybarski widzi jakąś walkę zasadniczą — to zjawiska wtórne. — Kiedy burżuazja — w końcu XVIII-go wieku we Francji — była klasą, walczącą o miejsce naczelne, chciała cały ustrój społeczny prześwietlić jasnem rozumowaniem i była racjonalistyczna (według terminologji p. Rybarskiego); dzisiaj zaś, kiedy zestarzała się przy władzy, pragnie przesłonić przed masami prawdę ustroju społecznego i dlatego wyznaje i propaguje irracjonalizm, wyrzeczenie się rozumowego poznania praw, rządzących ruchami społecznemi. Wtedy walczyła z religją, dziś chce wszystko ureligijnić.

Próby stworzenia endeckiej religji dla narodu polskiego również są stare i przestarzałe. Endecja w czasach swej młodości — przed kilkudziesięciu laty — miała nawet z tego powodu pewne zatargi z Kościołem Katolickim. Zajmowali się tem tworzeniem różni ludzie — i tacy, jak gadający dotychczas, uczony narwaniec, prof. Wincenty Lutosławski,

i tacy, jak działacz galicyjski Stanisław Szczepanowski, i tacy jak bardzo utalentowany, zresztą poeta, Tadeusz Miciński i inni.

Ani ta religja jednak, ani nic, co zasługiwałoby na miano filozofji narodowej (dużo swego czasu mówiono o takiej filozofji) zgoła nie powstało. — Endecja, jako partja, dawno zarzuciła te drogi i, doszedłszy bez trudu do zupełnego porozumienia z Kościołem Katolickim, w jego wytrawne ręce złożyła rząd dusz. — Ostatnio jeszcze p. Roman Dmowski wyznawał właśnie publicznie swe bardzo katolickie uczucia.

Czyżby więc „dzieło" p. Rybarskiego było zupełnym anachronizmem? Czyżby p. Rybarski wypracował tak gruby tom, zgoła nie mając poczucia tej klijenteli, dla której jest on przeznaczony?

Tak źle jeszcze z endecją nie jest. — P. Rybarski ma klijentelę, która przyjmie jego irracjonalne wywody za swoje własne.

Czyż nie mamy grupy, która właśnie szczyci się swym irracjonalizmem narodowym, która oparłszy się na imponderabiljach narodowych uważa się za kapłanów wiekuistego znicza narodowego i chwali się tem, że przez wnętrzności swych przeciwników politycznych mogłaby przepuścić całe beczki oleju rycynowego?

Do nich właśnie postanowił „dziełem" swem przemówić p. Rybarski i w tym celu nabrał w siebie tonów z przed laty kilkudziesięciu, z czasów endeckiej młodości. Jak sprawny rybak zarzucił sieci i pewny jest, że ruchliwe karpięta obficie do matni mu nalezą. Wlazłszy zaś tam, same uznają swe błędy dotychczasowe.

Tak buduje się kościół jedności narodowej.

Czy to rzeczy nowe? *h.*

W. M. Frycze. O społecznem znaczeniu sztuk pięknych. Z ros. przeł. R. O. B. Skład Główny „Książka" w Warszawie, 1926, str. 45.

Szkic Fryczego ma za zadanie w popularny sposób wyjaśnić czytelnikowi zależność stylów i prądów w sztuce od ustosunkowania się sił społecznych w danej epoce. Trudno powiedzieć by autor zadanie to wypełnił zadawalająco. Sama metoda pracy wydaje się dość powierzchowna. Co prawda, szkic ten wyjęty został z większej całości, gdzie niezawodnie poglądy autora wyłożone są w sposób bardziej kompletny i wyjaśniają się wzajemnie, ale tem niemniej odnosi się wrażenie, że autor sam sobie nie wyjaśnił całego szeregu kwestji, zwłaszcza jeśli idzie o tendencje w sztuce ostatniej doby.

Aby nadać wywodom swym większą konkretność Frycze bierze kilka dzieł sztuki, które, jak uważa wyrażażją tendencje miarodajne dla danego okresu. Bierze posąg grecki, katedrę średniowieczną, „Wenus" Giorgione'a i t. d., rozpatruje charakterystyczne cechy tych dzieł, odwołując się po wyjaśnienie do społeczeństwa, które je wydało. Daje to wykładowi charakter przypadkowości pewnej. Szkic zajmuje się wyłącznie sztuką oficjalną i tendencjami klas panujących w niej wyrażonemi, zaś nie wspomina o stosunku klas uciśnionych do sztuki oficjalnej, a kwestja to przecież bardzo ważna. Jeżeli się mówi o społecznem znaczeniu sztuki nie można tych rzeczy pomijać. Podobnie jak nieuwzględniony został opozycyjny nastrój mas ludowych w stosunku do sztuki oficjalnej klas panujących, — nie zostało też podniesione lub bardzo powierzchownie potraktowane, oddziaływanie przewrotów technicznych na sztukę.

Mówiąc o nowej sztuce i nowym stylu życia autor uważa, za najbliższy mu futuryzm i powiada: „Kwalifikując tu futurystyczny kierunek artystyczny, jako najdalej w swej istocie idący wyraz stylu współczesności, podkreślamy jednocześnie, iż ten styl artystyczny, jest właśnie stylem kapitalistycznego społeczeństwa i tylko chwilowo może być stylem sztuki proletarjackiej". Mówi to o pewnem pogmatwaniu poglądów autora. Pomijając już fakt, że futuryzm właściwy wywarł wpływ dość słaby (chyba że zaliczać do futuryzmu takie prądy jak kubizm i in.) to jakże styl kapitalistycznego społeczeństwa może być choćby „chwilowo" stylem sztuki proletarjackiej i jak długo ma trwać taka chwilowość?

Po przeczytaniu szkicu czytelnik o ile będzie chciał skontrolować końcowe wnioski, znajdzie w gmatwaninie sprzecznych z sobą wyobrażeń. Możnaby podejrzewać, iż z autorem było coć podobnego w trakcie kończenia szkicu. A nieporozumień tych bynajmniej nie wyjaśnia końcowy dość niespodziewany ukłon w stronę konstruktywizmu. *f.*

Bruno Jasieński. *Słowo o Jakóbie Szeli. Paryż, 1926.*

Szela spopularyzowany został w ostatnich czasach przez Żeromskiego „Turoń" miał w oczach wielu oznaki tej specjalnej aktualności którą Żeromski potrafił nadawać swym utworom. Problemat Szeli był dla niego najgroźniejszem, najbezpośredniejszem niebezpieczeństwem, grożącem klasom posiadającym w Polsce. Jasieński daje gloryfikację Szeli jako klasowego bohatera chłopstwa polskiego, powiada:

„Gdyby nawet Szela historyczny nie istniał, to, w interesie o cały świat świadomości klasowej wzbogaconej kultury polskiej, należałoby go wymyślić".

Sformułowanie jak widzimy nader mętne i naiwne. Co to znaczy ta wzbogacona o „cały świat świadomości klasowej" kultura polska. Takie świadome wzbogacanie „kultury polskiej" klasowością stanowi wysiłek dziwaczny i bezpłodny. Na usprawiedliwienie autora można rzec, iż koncepcję swą ma do zawdzięczenia publikacjom w rodzaju książki Bronowicza, która poszła w świat pod firmą nienagannego marksizmu i klasowości, nie mając nic wspólnego ani z jednem ani z drugiem.

Można i należy oświetlać Szelę inaczej niż oficjalna historja klas posiadających. Ale co innego osobistość Szeli, gdy go brać biograficznie a co innego mianować go „świadomym reprezentantem idei klasowej", jak to robi autor.

Do tego Szeli daleko. Świadomość klasowa, to głębokie, daleko idące ujmowanie interesów klasy, — to nietylko chwilowe odruchy czy stały stan nienawiści w stosunku do wrogów klasowych. Szela nie był przywódcą chłopów na szerszą skalę, był pionkiem w ręku sił obcych klasowemu interesowi chłopstwa; skoro przestał być potrzebny, wycofano go prawie bez hałasu.

Inna rzecz, iż ani świadomości ani ufności w swe siły nie było wówczas u klasy do której Szela należał. Była natomiast tragedja wewnętrznej bezsilności, ślepoty, zagubienia chłopa polskiego. Gdyby autor dokonał głębszej analizy materjału historycznego niezawodnie umocniłoby to i pogłębiło formalnie jego poemat. P. Jasieński wybrał koncepcję, która odskakiwała zbyt jaskrawo od oczywistości historycznej. To nieporozumienie zaciążyło na poemacie odjęło mu twardość zarysów i całkowitość. Stąd niezgoda, brak powiązania tez ideologicznych z właściwą treścią utworu. Część pierwsza nadaje „Słowu" charakter biograficzny, odskakuje od dwóch pozostałych — zakończenie się rozpływa właściwie.

Jest jednak w poemacie Jasieńskiego sporo miejsc mocnych. Połączenie motywów ludowych z manierą imaginistowską miejscami bywa bardzo efektowne, mimo nonszalancji „literackich" zestawień, które niekiedy odbierają wartość niektórym metafozom. Opis dworu opis nędzy chłopskiej na początku drugiej części poematu — ironizowany gorzko, ma wielką dobitność wyrazu. Dużą trafność psychologiczną wykazuje zwłaszcz. traktowanie dworu ze stanowiska chłopskiego z naciskiem na brzydotę i potworność. To co się nienawidzi uważa się zwykle za potworne, brzydkie.

U dziedzica nos jak świeca
Koło nosa — krosta.
Nie pozwolił zgubić Szeli
tarnowski starosta.

Mamy tu zarazem niezadowolenie i pomieszanie dziedzica, któremu starosta przeszkodził zadręczyć Szelę. Pewne szczegóły w fizjonomji (długi nos, krosta) uwydatniają się w zdenerwowaniu. W stylu chłopskim utrzymane jest spotkanie Szeli z Jezusem. W kontraście z poprzedniem przedstawieniem dworu, jest dzika wesołość rzezi, pewna krwawa dobroduszność opisów.

„Tańcowali z chłopem pan"
„Po zielonej komorze,
tańczył ogień we dworze, i t. d.
„Ta smarzowska gromada
ratowniki nielada".

Ratują ogień aby nie zgasł.

Pomimo pewnego braku ambicji wykończenia, poddawania się wpływom, co zresztą jest zjawiskiem powszechnem, poemat Jasieńskiego stanowi w dzisiejszej poezji polskiej przejaw bardzo wydatny.

A. Stawar.

Anatol Stern. Bieg do bieguna
Warszawa, Hoesick 1927..

Tom wierszy p. Sterna poprzedzony jest „Spowiedzią", w której autor zwierza się czytelnikowi ze swych przełomów wewnętrz-

nych w ostatnich latach. Przedmowa ta stanowi znakomity przejaw miszmaszu ideowego panującego w pewnych kołach inteligencji. W wywodach związanych z sobą dość luźnie autor opowiada o swoim stosunku do bezrobotnych, do społeczeństwa, do poezji oraz do marksizmu, mówi o pragmatyzmie, rzuca mimochodem kilka nazwisk wreszcie opowiada o wrażeniach doznanych w pewnym wiejskim kościołku, przy pewnym obrazie o czterech kondygnacjach. Wspomniawszy Ewangelję, a z niej parę orzeczeń, Apokalipsę i Antychrysta dochodzi do przekonania „że nauka Marksa nie sprzecza się z uczuciem religijnem, i że są one swem wzajemnem dopełnieniem".

„Jeśli książka, którą obecnie wydaje, wyraża mój pejzaż psychiczny, to chcę wierzyć, że czytelnik odczuje ją jako ożywiony pejzaż w którym panuje urozmaicona walka żywiołów..." Ileż żywiołowego zadowolenia z siebie okazuje to powiedzenie „urozmaicona walka żywiołów"! Zadowolenie z siebie jest rzeczą nader cenną ale trudno też dzisiejszemu czytelnikowi przejmować się zbytnio „walką żywiołów", oraz tragizmem przełomów odbywających się w mikrokosmie poetyckiej psychiki. Mniejsza o to, iż widzieliśmy już masę podobnych walk i przeżyć — ale zdeziluzjonowano nas oddawna, nie bez przyczynienia się samych poetów. Wbrew temu co p. Stern mówi o zadaniach poezji, w osobie jego mamy do czynienia właśnie z egotystą bezwzględnym i nieuleczalnym, który traktuje idelogję jako coś co można brać, przykrawać wedle upodobania zupełnie dowolnie, w żadnym razie jako coś wiążącego naprawdę.

Przedmowa wprowadza pewien nastrój retrospektywny. Zawartość tomu, świadczy o pewnym zastoju, który zresztą odczuć się daje w całej współczesnej poezji. Są tam rzeczy typowe dla tak zwanej (od lat blisko dziesięciu) najnowszej poezji, wiersze w rodzaju — pomimo całej odrębności, której bynajmniej nie myślę odmawiać bardzo utalentowanemu autorowi „Biegu do bieguna" — spotykanym u każdego ambitniejszego poety, który zaczynał pisać w tym okresie. Mam na myśli pewne typowe wizje charakteru jakby apokaliptycznego, wizje jakiegoś rozkładu świata, burzenia wszystkich rzeczy. Tak w wierszu „Europa" są bachantki, które po dokonaniu całego szeregu spustoszeń wpadły:

w stłoczone stado
aut
lokomotyw
przerażonych jagniąt
beczących
zachrypniętemi trąbami

a dalej:

rozpędzają stado
Paryżów
Warszaw
Lizbon
Londynów i t. d.

To samo w wierszu „Zdobycie Paryża".

Charakterystyczne powtarzanie się u poetów nowoczesnych podobnych obrazów apokaliptycznego porządku, możnaby wyjaśnić pewnym kryzysem wyobraźni naginanej gwałtownie do przyjmowania nowych szeregów skojarzeń poetyckich. Jest to pierwotna reakcja na urbanizm. To pozornie dowolne rozbijanie przedmiotów, burzenie ustalonego porządku zjawisk, ma za zadanie ułatwić opanowanie poszczególnych odosobnionych elementów współczesnego miasta, przez poetę. Możnaby to określić jako przecieranie się pewnych rzeczy we wrażliwości, coś niby przecieranie się ząbków u dzieci. Z właściwem ząbkowaniem na to wspólnego tyle, że bywa przy tem bardzo dużo krzyku.

Krzyku tego nie szczędzi i p. Stern — ale to nie jest już ten zuchwały krzyk młodości co przed kilku laty. To już powtarzanie, odwiedzanie miejsc gdzieśmy już byli. Z wielu rzeczy przegląda naiwny materjalizm Majakowskiego („Europa" „Drogą wysokiego zwycięstwa") upewniający się tautologją

Świat drewnianego drzewa,
Świat żelaznego żelaza
i czworokątnych kwadratów —
to jedyny żywy,
jedyny prawdziwy wśród światów.

Typowy dla tomu jest tytułowy, najdłuższy wiersz: „Bieg do bieguna". Ma tu się przezwyciężać tragizm światopoglądu autora. To przezwyciężanie zaaranżowane zostało zbyt zdawkowo za pomocą rewji obrazów i nazwisk: różni święci, prorocy, uczeni,

rewolucjoniści — zamieszane to wszystko w humanitaryzmie dość tanim i zakończone wybuchami dziwacznej dewocji. Jedyne hasło: „O, być kompasem!" Kompas to zasadniczy ideał autora — jednak kompas, który może pokazywać parę biegunów odrazu. „Mój Bóg! Chrystus i drapieżny oprawca Chrystusa"...

Dodajmy, że „Ziemia" jest właściwie wierszem sjonistycznym, a będziemy mieć pojęcie o bukiecie ideologicznym tomu. Ale to nie jest bezładna pstrokacizna — stanowi ona raczej pewien układ ochronny, stworzony ze sprzeczności barwnych epoki. Wydawca reklamuje w jednem z pism literackich „Bieg do bieguna" jako „poezję sprawiedliwości społecznej i uczucia religijnego". Absurdalnie ckliwe zestawienie! W rzeczy samej jest to poezja przystosowania się, rezygnujący z całkowitej ideologji, a gotowa rezygnować z siebie — *poezja barwy ochronnej.*

A. Stawar.

Marja Kuncewiczowa. Przymierze z dzieckiem. Powieść Warszawa 1927. J. Mortkowicz.

„Przymierze z dzieckiem" p. Kuncewiczowej wzbudziło zainteresowanie jako rzadki w dobie dzisiejszej debiut prozatorski. W takich razach, mając do czynienia z pierwszym tomem autora dotychczas nieznanego robi się zwykle wróżby na przyszłość. Wróżby takie to rzecz bardzo niepewna. U młodych początkujących artystów spotyka się często znakomite opanowanie techniki mijającego okresu, które imponuje starszym pisarzom. Tymczasem rzeczy te bywają poprostu wyuczone, podpatrzone — a nie zdobyte. Uczyć się jest przecież dość łatwo przy pewnych zdolnościach.

Stąd częste pomyłki pisarzy starszych w ocenie młodych. Stąd owo dość często spotykane w dziejach sztuki zjawisko, że artyści, którzy w okresie niejako dziecinnym, niemowlęcym, w okresie uczenia się byli chwaleni, doznają całkiem innego przyjęcia z chwilą, gdy zaczęli działać jako ludzie dojrzali. Ceniono w nich bowiem to, co było w nich najmniej cenne: młodzieńczą uległość, plastyczność nieokrzepłego jeszcze materjału.

Natomiast bardzo ciekawe w takim wypadku bywa odnajdywanie tendencji tego co się uważa za ideał techniczny pisarstwa. U p. Kuncewiczowej przebija się wyraźnie przerost metafory, hyperboliczność w określaniu uczuć i w obrazach. Autorka zdaje się unikać prostego zdania i prostych wyrażeń, nawet tam gdzie idzie o analizę uczuć. Łączy się z tem specyficzny niepokój — jakieś dążenie do wywoływania wstrząsów w otoczeniu sprawach i przedmiotach niejako z zewnątrz człowieka. Zwykły hałas uliczny „szturmuje" dom niby „spienione bałwany tańczące u stóp skały". Przedmioty w pokoju stają „na baczność". „Drzewa na przechodniów spoglądają hardo". „Kuzyn stanął w ogniu i, zanim dłoń uścisnął cały już zgorzał na próchno" (!) i t. d. i t. d. „Afisz mojej młodzieńczości — matka", „dwie czerwone wstążeczki związane w uśmiech' (usta dziecka).

Nad techniką pisarską autorki panuje Kaden - Bandrowski. Przedewszystkiem — rzecz wcale nie drugorzędna — uwidocznia się to w tytule „Przymierze z dzieckiem" — („Przymierze serc" i dziecinne nowele Kadena). Użycie tytułu stanowiącego tak silną aluzję do rzeczy innego pisarza mówi albo o chęci przeciwstawienia się czy rywalizacji— albo o przygniatającym wpływie. Tu mamy raczej to drugie. Pozatem daje się spostrzec materjał, wzorowany na innych autorach. (Reymont, opis porodu przypomina Żeromskiego i t. d.).

Pomimo pozorów wirtuozostwa zaznacza się pewna nieporadność techniki. Wypadki w nowelach nanizane są jak na sznureczek, sposobem biograficzno pamiętnikarskim. U bohaterek zaznacza się — charakterystyczny oddawna dla kobiecych „nowatorskich" (bo jest to właściwie nowatorstwo dokumentu nie artyzmu) powieści przesadny, słodkawy sentymentalizm w stosunku do własnego ciała, kokieterja stałego pozowania przed lustrem, co mają zresztą dawniejsze „kobiece" powieści Nałkowskiej. Nawiasem mówiąc jest to świadectwem daleko idącego opanowania psychiki kobiecej przez mężczyznę, — patrzenie oczyma wyobrażanego mężczyzny — co rzuca zresztą mimowolny znak zapytania i nad „dokumentarnością" oraz zostawia pewien tonik przypominający artykuły w żurnalach mód.

T. zw. oznaki talentu rozłożone nierównomiernie. Najbardziej własną nowelą autorki wydaje się „Tamto spojrzenie".

DOMY—OGRODY W MIASTACH—OGRODACH

Załączone tu reprodukcje obejmują projekty rozbudowy kwartałów mieszkaniowych (powierzchnia każdego z nich wynosi 211,600 m²). Kwartały oddzielone są od siebie 50 m. szerokości liczącemi arterjami Pn — Pd, przecinającemi co 460 m — dzielnice mieszkaniowe. Przecznice W—Z tejże samej szerokości co arterje Pn—Pd na długość liczą tylko po 560 m. Ustawione są tak — iż wylotami swemi trafiają w środek kwartałów mieszkaniowych. Takie rozplanowanie ma na celu uniknięcie niebezpiecznych dla ruchu pieszego i kołowego — skrzyżowań — oraz dla uzyskania naturalnego regulatora ruchu. Przy skrzyżowaniu się ulic mamy 12 zasadniczych — różnokierunkowych prądów ruchu kołowego. Przy podanym wyżej systemie — tylko 6.

Należy tu wspomnieć iż centrum miasta z całym aparatem państwowym, biurowym, handlowym i t. d. jest pomyślane jako pas zabudowań i krótkich poprzecznych arterji.— Pas ten jest tylko z dwuch stron ujęty dzielnicami mieszkaniowemi. — Ma to na celu racjonalny rozrost miasta: wzdłuż po linji centrum przybywają warsztaty pracy — wszerz — okręgi mieszkaniowe. Unikamy w ten sposób „zakorkowania" centrum miasta— i dajemy mu możność racjonalnego rozwoju.

Podane tu kwartały mieszkaniowe rozmieszczone są na kwadratowych placach (bok kwadratu wynosi 460 m) między arterjami Pn — Pd i W—Z. Rozbudowa przeprowadzona jest w ten sposób — iż dla uzyskania najlepszych warunków światła słonecznego dla poszczególnych mieszkań — zabudowania sytuowane są pod 45° do osi ulic. Nie mamy więc — śród tysięcy okien od mieszkań — jednego które wychodziłoby na północ. 1/6 część terenu zostaje zabudowana— reszta t. j. 5/6 oddana dla „oddechu miastu" — t. j. pod zieleń — oraz na wewnętrzne arterje komunikacyjne. Budowanie wysokich domów pozwala na zaoszczędzenie cennego terenu — t. zn. uzyskujemy duże wolne przestrzenie — które oddajemy pod zadrzewienie — zakładamy na nich parki, boiska i t. d.

Każdy z kwartałów mieszkaniowych ujęty jest jako samoistna (do pewnego stopnia) komórka wielkiego miasta. — Poza mieszkaniami zawiera — wspólne garaże, wspólne boiska i planty — wspólne przedszkola i szkoły powszechne, kooperatywy, lokale klubowe i związkowe, lokale dla celów oświatowo - kulturalnych i sportowych, sklepy z artykułami żywnościowemi i innemi pierwszej potrzeby — dla tych zaś mieszkańców, którzy nie chcą gotować u siebie w mieszkaniu — wspólne kuchnie i jadalnie.

Zabudowania mieszkalne — wieloparzystopiętrowe, od 2—6 podwójnych pięter — czyli typu „plastrowego" (alveole) — t. j. każde mieszkanie rozbudowane jest na dwuch piętrach połączonych ze sobą wewnętrzną mieszkaniową klatką schodową. Na dachach domów — wielkie tarasy dla treningów sportowych — kąpieli słonecznych — spacerów, oraz zieleńce — wiszące ogrody.

Wysokość pokojów minimum 2,5 m — 2,6 m i 2,7 m — co przy dobrym oświetleniu i systemie wentylacyjnym — gwarantuje utrzymanie świeżego i czystego powietrza wewnątrz mieszkań. Biegi schodów szerokości od 90 cm — 1 m, stopnie 16 cm.×26 cm i 17×24 cm. Wszystkie ubikacje — jak klatki schodowe — WC — łazienki, kuchnie i t. p. mają naturalne oświetlenie. Ogrzewanie centralne — wodne — szybkoobiegowe — gotowanie na gazie.

5 typów mieszkań ze wszelkiemi wygodami. W 2 typach zastosowano rozsuwane ściany — w 3 typach łóżka podnoszone — dające chować się do wentylowanych pomieszczeń. We wszystkich typach mieszkań — ściany w szafach. Meble — jak stoły do pracy — w ubieralniach i kuchenne — we wszystkich typach — w ścianach. W czterech typach — zamiast spiżarni — odpowiednio urządzone szafy w ścianach. Mieszkania minimalne — 2 pokojowe —maksy-

malne — 4 pokojowe. W dwuch typach mieszkań zaprojektowano balkony zewnętrzne— w trzech innych — balkony wewnętrzne (na tarasach).

Ponadto mieszkania posiadają nierozdzielnie związane z niemi wewnętrzne tarasy — o wysokości 2 pięter. Tarasy ze względów klimatycznych u nas — są oszklone. W jednym z typów tarasy są zewnętrzne — i odkryte. W 3 typach mieszkań tarasy te stanowią w rozplanowaniu mieszkań zasadniczy kościec — koło którego zgrupowane są pozostałe ubikacje. W tarasach tych typów zostały przewidziane wewnętrzne balkony. W dwuch typach mieszkań przewidziano pokoje służbowe. Wszelkie okna sprowadza się zasadniczo do 3 typów — co znakomicie ułatwia ich produkcję, toż samo drzwi i t. d.

PROJEKT PIERWSZY

PROJEKT PIERWSZY obejmuje kwartały mieszkaniowe położone dalej od centralnego pasa. Opracowali *T. Żarnowerówna. M. Szczuka, P. Koziński* i *A. Karczewski przy* współpracy *J. Kowalskiego*, w latach 1925/26/27.

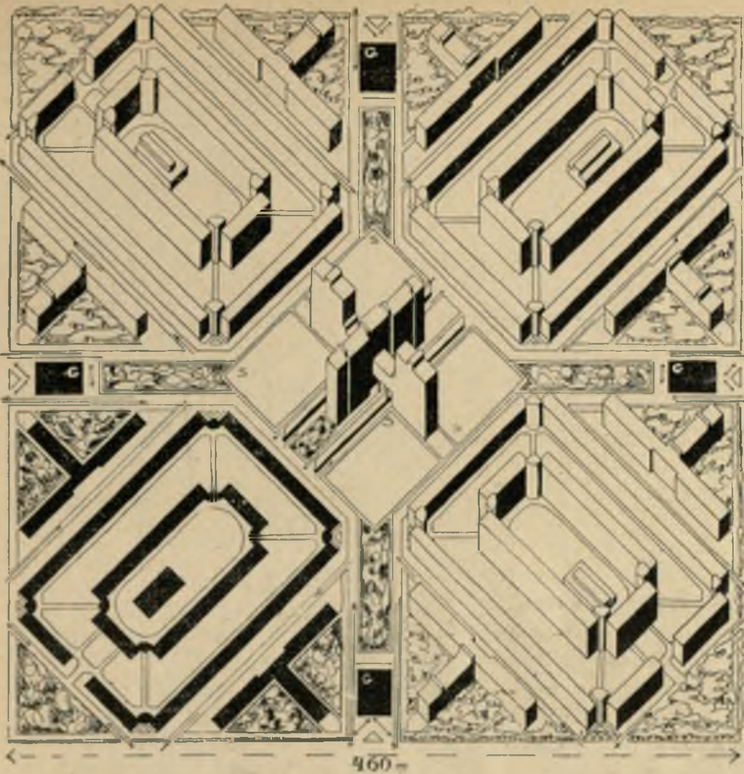
Na kwartał mieszkaniowy (rys. 1) składają się: kwadrat środkowy w kształcie krzyża (patrz: typ zabudowań projektu drugiego). Kwadrat środkowy przerzynają 4 ulice i 2 pasy garażów podziemnych i naziemnych — na 325 aut z warsztatami, 4 boiska o powierzchni ok. 10.500 m², 90 mieszkań. Duży sklep kooperatywny o 2 kondygnacjach, klub, wspólna kuchnia, jadalnia, sala sportowa i administracja, wspólne pralnie. Wysokość zabudowań — 12 kondygnacji. Kwadrat ustawiony pod 45° do osi ulic.

Do każdego z boków kwadratu środkowego przypierają (oddzielone jezdniami) węższym swym bokiem — prostokątne bloki mieszkaniowe (rys. 2). Bloki prostokątne zamykają się dwoma wieńcami zabudowań mieszkalnych. Wewnętrzne liczą 6 kondygnacji i obejmują sobą place i budynki szkolne (o łącznej powierzchni ok. 15.000 m² — 4 budynki i 4 place). Wieńce zewnętrzne liczą 4 kondygnacyj. Dojście do mieszkań przez narożne klatki schodowe (po 8 wraz z windami w każdym z wieńców) i wiszące uliczki — balkony obiegające co drugą kondygnację — wieńce od wewnątrz. Mieszkania jednego typu (rys. 3 i 4) — (ogólna ilość 678). Niższa kondygnacja każdego mieszkania (wys. 2,5 m) połączona wewnętrznemi schodami z wyższą kondygnacją (wys. 2,7 m). Mieszkania — których niższe kondygnacje stanowią przyziemia zabudowań — nie posiadają tarasów szklonych (rys. 5), miasto nich założono wentylacyjne przerwy oddane pod zieleń. Udostępnia to dopływ świeżego powietrza do wielkich placów wewnętrznych. W każdym bloku w podziemiach centr. ogrzewanie i wspólne pralnie.

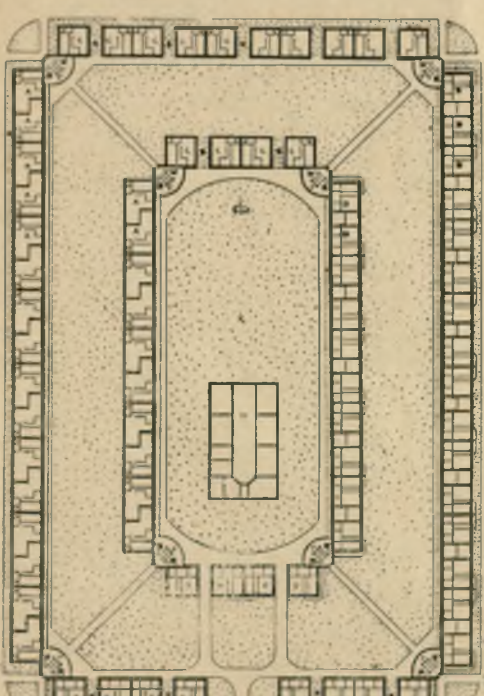
Do szerszych boków, prostokątnych bloków przypierają (oddzielone jezdniami) zabudowania mieszkalne w kształcie litery „T". Zabudowań tych — 8. Liczą one 256 mieszkań (128 typu tego co w zabudowaniach wieńcowych i 128 — 2 typów, ze skrzydeł „C" w zabudowaniach krzyżowych). Nadto 16 sklepów (na miejsce tarasów). Dojścia do mieszkań bądź z wiszących uliczek — bądźto z klatek schodowych (po 4 w każdym zabudowaniu) lub też bezpośrednio z ulic. Wysokość zabudowań — 4 kondygnacje. W każdym zabudowaniu centr. ogrzewanie i wspólna pralnia.

Z każdego wierzchołku kątów kwadratu środkowego biegną 4 pasy plantów (równolegle do osi ulic) — ujęte w ramy jezdni. Na plantach stoją 4 sześciokondygnacyjne garaże mechaniczne na 800 aut — z warsztatami.

Ogółem kwartał liczy 1024 mieszkań (ok. 5,500 mieszkańców) i -8 uliczek wewnętrznych.

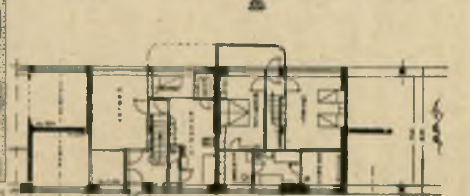


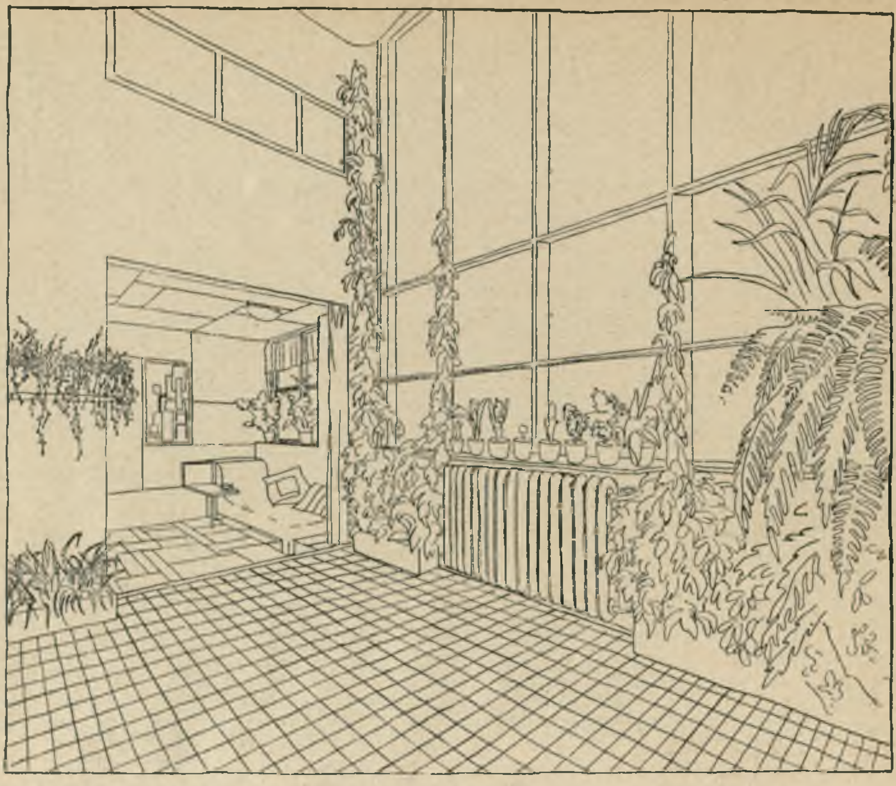




T. Żarnowerówna,
M. Szczuka,
P. Koziński,
A. Karczewski.







Taras — T. Żarnowerówna, M. Szczuka, P. Koziński, A. Karczewski.

PROJEKT DRUGI

PROJEKT DRUGI obejmuje kwartały mieszkaniowe położone bliżej centralnego pasa. Opracował *M. Szczuka* przy współpracy *B. Targowskiego* (1926—27).

Na kwartał mieszkalny (rys. 6) składają się: 4 kwadraty o zabudowaniach krzyżowych (pod 45 do° do osi ulic) oraz 2 pasy plantów (równoległych do osi ulic). Planty (o łącznej powierzchni ok. 12,000 m²) ujęto ramami jezdni. 2 inne pasy przecinają prostopadle planty — tworząc w środku kwartału okrągły plac ze stacją kolei podziemnej. Na tych dwuch pasach umieszczono 2 szkoły powszechne z placem do zabaw i 2 sześciokondygnacyjne mechaniczne garaże na 200 aut z warsztatami.

Zabudowania krzyżowe (rys. 7) z 4 typami mieszkań, zaopatrzonych w dwupiętrowe tarasy — przecinają ukośnie po 2 ulice (szer. 17 m) — biegnące koncentrycznie do środka kwartału. Ujęte ramami jezdni — na ulicach tych stoją parterowe garaże z dojazdem z jednej strony i wyjazdem z drugiej. 4 windy (w każdym pasie garażów) sprowadzają część aut do drugiej serji garażów — podziemnych (patrz rys. 8) — zaopatrzonych w warsztaty i jezdnię podziemną. Na dachach garażów — zieleńce. W podziemiach i piwnicach mieszczą się poza tem: centr. ogrzewanie, wspólna pralnia, piwnice i składy.

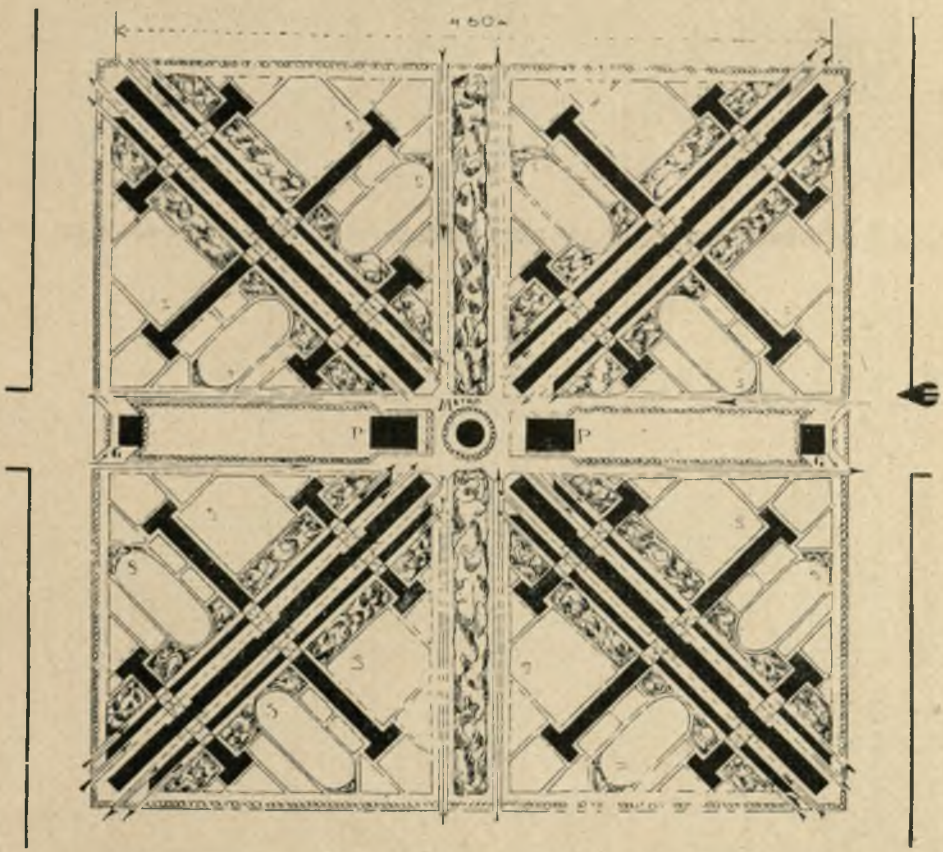
Między ulicami garażowemi biegną zabudowania mieszkalne wysokości 10 kondygnacyj o jednym typie mieszkań (rys. 9). W trzech punktach — przypierają do tego pasa poprzeczne zabudowania (wysokości 10 kondygnacji) — przebite przez ulice garażowe na wysokość 3 pięter najniższych. W zabudowaniach tych mieszczą się 2 typy mieszkań (skrzydła „C"). Nad ulicami — poprzeczne zabudowania skrzydeł „C" (miąższości 2—3 pięter — zawierają: wspólną jadalnię, klub, przedszkole, administrację, salę sportową, biura (rys. 10 i 11).

W miejscu skrzyżowań — zabudowania tworzą wieże („A—A") o 12 kondygnacjach — zajęte przez sklepy (o wys. 2 i 3 kondygnacyj), wspólne kuchnie, sale ogólne i mieszkania 2 typów (1 typ — w części środkowej wieży na 6 górnych piętrach) (rys. 9, 10 i 11). Klatki schodowe (27 w jednym kwadracie) i tyleż wind ułatwiają i zabezpieczają doskonałą komunikację.

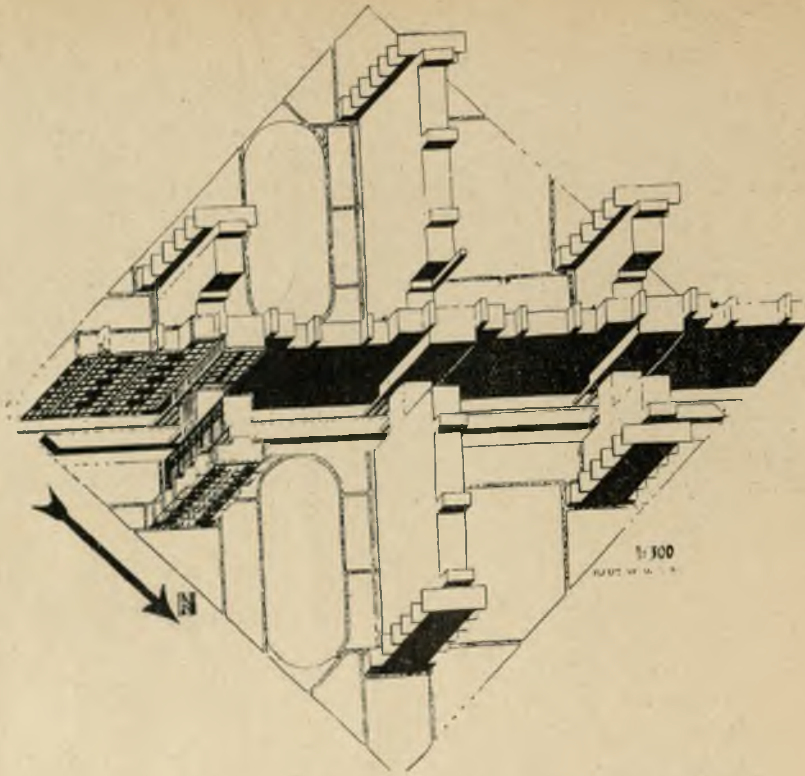
Ogółem w kwartale mieści się 1336 mieszkań (minimum ok. 6,000 mieszkańców) — garaże na 1070 aut z warsztatami, 2 szkoły powszechne, 4 przedszkola, 4 lokale sportowe, klubowe, administracyjne i jadalnie, 4—8 lokalów dla celów handlowych i biurowych — oraz składy. 12 sklepów (o 2—3 kondygnacjach), 12 ulic wewnętrznych (4—9 m szerokości), plac i stacja „Metro", 14 placów dla zabaw i sportów (ok. 42,000 m^2), planty i ogródki.

Mieszkania wys. 2,6 m.

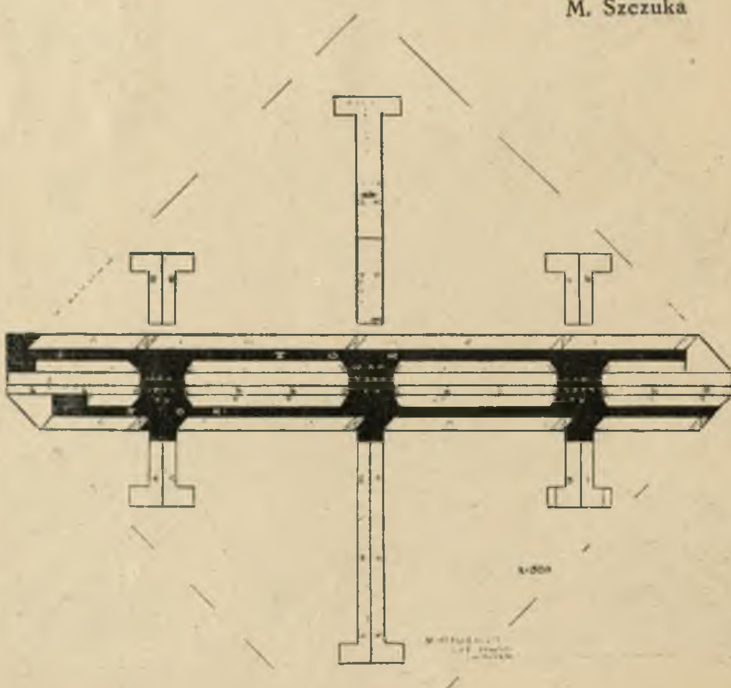
Fragmenty widoku zewnętrznego podają rysunki Nr. Nr. 7, 12, 13.

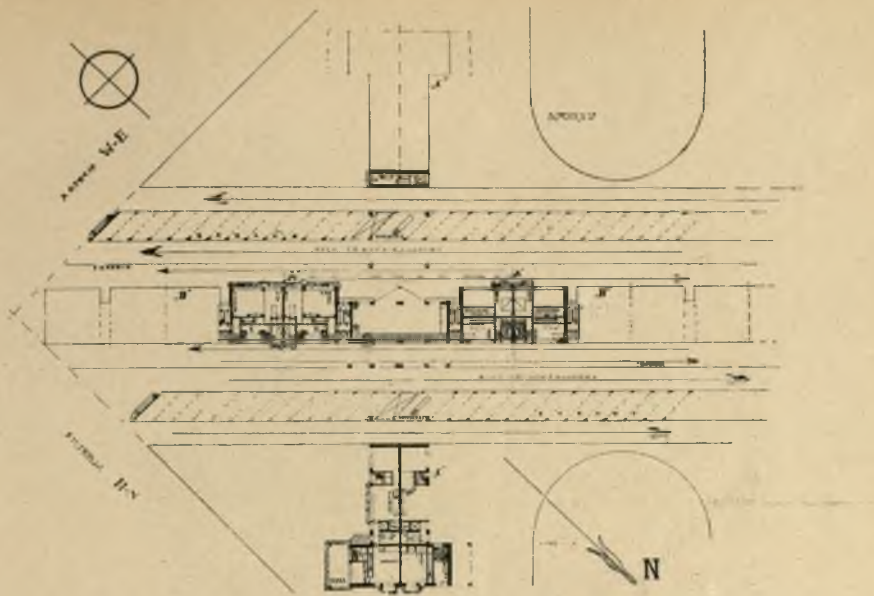


M. Szczuka

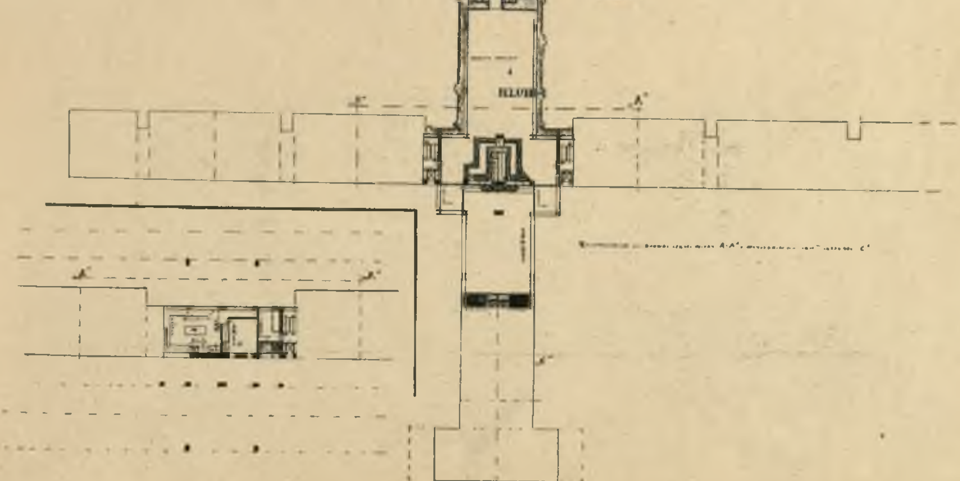


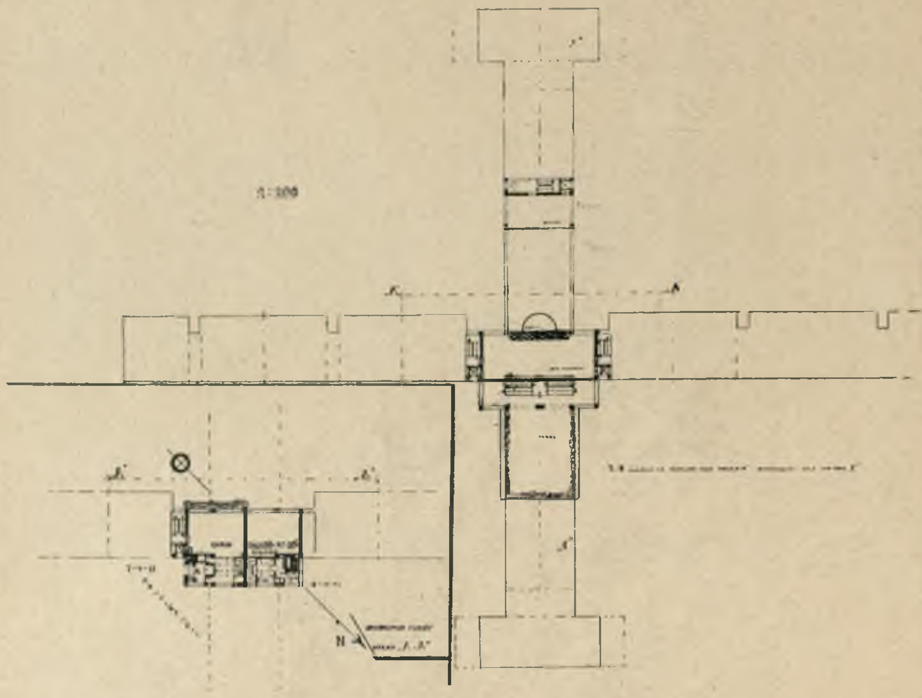
M. Szczuka





M. Szczuka





M. Szczuka





M. Szczuka

Z przyjemnością zauważyć można przenikania nowoczesnych prądów do sztuki w Polsce.

Budzi się jednak troska — czy ideje te w sposób jaki tu uzewnętrzniają się nie są zaprzeczeniem zasadniczych wartości jakie wnosi t. zw. Nowa Sztuka?

Czy architekci nasi nie popełniają błędu wysilając zdolności swe i pomysłowość w kierunku *pomniejszenia* rozmiarów istniejących już szablonów mieszkaniowych — bez twórczej myśli nad radykalnemi zmianami naszych warunków mieszkaniowych?

Czy nasi malarze uważają łataninę zakolorowanych prostokątów, poprzyczepianych do starych murów za wyraz Nowej Sztuki? Czy podobnie ponure dziwolągi jak malowidła w „Perskiem Oku" — to Nowa Sztuka i czy to wogóle sztuka? — Zdaje się że nie.

Winę za te obrzydliwości ponosi grupa „kwartalnika" (?) Praesens. A przecież między autorami „Perskiego Oka" widnieje nazwisko p. Stażewskiego — człowieka kulturalnego — dawnego współpracownika „Bloku". Osoba p. Stażewskiego dawała (zdawało się) rękojmię poważnego potraktowania zadania stającego przed nim. Stało się inaczej. Czyżby winić tu jego współpracowników jak — grafomana - architektę p. Syrkusa — którego osobiste kwalifikacje nie upoważniają do stawania na czele grupy artystów i to w dodatku nowatorów.

Mała rzecz — a duży wstyd.

M. S.

O ile brzydota „Perskiego Oka" razi nas przedewszystkiem jako objaw żerującego na „nowoczesności" geszefciarstwa, jako odstraszający przykład tego — co może zrobić sprytny a pozbawiony wszelkich zdolności reklamiarz — z zadania przekraczającego jego siły (jestem bowiem przekonany, iż winę za „Perskie Oko" ponosi wyłącznie kierownik robót — t. j. p. Syrkus) — o tyle autorowi gmachu kina „Casino" — p. Sosnkowskiemu — oraz dyrekcji — możemy serdecznie powinszować ich dzieła, odznaczającego się wysokim smakiem i młodzieńczą świeżością. *M. S.*

■

Parę miesięcy już nas dzieli od ogłoszenia wyniku na konkurs p. n. „Tanie mieszkanie". Spóźnione byłoby zamieszczanie obszernego sprawozdania — jednak ze względu na aktualność samego zagadnienia należy wspomnieć o refleksjach nasuwających się w związku z konkursem.

Przedewszystkiem autorowie warunków konkursowych obmyślili je tak, — by uniemożliwić swobodę pomysłów — t. j. najcenniejszego warunku przy podjęciu pracy nad tak trudnem zagadnieniem — jakiem jest tanie i dobre mieszkanie.

Czy panowie ci sądzą, iż można zrobić racjonalne szablony mieszkaniowe — bez myśli *o całości osiedla* — na które przecież składa się coś więcej aniżeli same tylko mieszkania?

W ten właśnie sposób powstają takie dziwolągi, jak te biedne minjatury normalnych mieszkań — na które wysiliła się wyobraźnia biorących udział w konkursie architektów.

Wobec takiego obrotu rzeczy — narzuca się myśl — by w analogicznych wypadkach, jak układanie warunków konkursowych na tanie mieszkania — należało uprzednio ogłosić konkurs na projekt tych warunków. *M. S.*

■

Obszerne sprawozdanie z wystawy prac dyplomowych studentów architektury na Politechnice Warszawskiej — odkładamy do następnego numeru.

Na marginesie sportowym

W Nr. 4 Stadjonu z dn. 27.I.27 Dr. Marjan Sokołowski ogłasza artykuł p. t. „O nowe hasło w taternictwie.

Świetny taternik z troską spogląda w przyszłość sportu wysokogórskiego — któremu grozi jakoby wycieńczenie z powodu braku nowycn „problemów" — prawie, że wyczerpanych na terenie Tatr. Autor z wielkiem znawstwem rozpatruje wymowę faktów i mimo właściwego mu optymizmu — nie daje żadnego środku zaradczego — gdyż dać go niemoże.

Tatry są małe — a zaprawdę rozbudować je — to trochę trudno przyszłoby. Nierozwiązane „problemy" padną zapewne w najbliższych latach (o ile oczywiście jest to wogóle możliwe). Faktu tego nie zmieni ani utrzymywanie *sztucznej* „pierwotności i tajemniczości gór" (projekt Guido Rey'a) dzięki dobrowolnemu i zgóry umówionemu zamilczaniu o nowych zdobyczach na szlakach wysokogórskich — ani taternictwo zimowe, ani „korygowanie" uprzednio odkrytych przejść — ani odkrywanie nowych warjantów — ani ekspansja w inne góry Europy i krajów pozaeuropejskich (które to góry czeka padobny los co i Tatry). Zdaniem moim — istota taternictwa nie polega na zadowoleniu ambicji w dokonywaniu pierwszych przejść. Powtarzając odkryty — lecz mnie nieznany szlak — zdobywam go dla siebie jako nowy. Uzależniony jestem jedynie od swych warunków fizycznych i psychicznych — i okoliczności zewnętrznych — poznaję go dla siebie i nic mnie to nie obchodzi, że był on już wielokrotnie „robiony" uprzednio. Nieznany szlak dostarcza mi wszechstronnych wzruszeń (po które wstępuję nań) i stawia mnie wysokie wymagania — których nie zmniejszy żaden opis, ani świadomość, że ktoś inny go przeszedł — gdy ja podołać mu nie mogę.

Ani ciężkie, hakami kute buty — ani trzewiczki turystyczne mych poprzedników nie zasłonią przedemną dzikiej piękności i grozy gór — nie ułatwią trudności — zaś wrażeń i wzruszeń doznam takich na jakie mnie stać.

Ambicja — że nie ja tu pierwszy dotarłem — może być podrażniona — nie przeczę — lecz na tem najmniej chyba zależeć powinno.

Bardzo ciekawie autor porusza (między innemi) sprawę literatury taternickiej.

M. Szczuka.

Prenumerata: Kwartalnie 4 zł.—Półrocznie. 7 zł. 75 gr. Rocznie 15 zł.—**Zagranicą**: Półrocznie 1 dol. St. Zj., Rocznie 2 dolary. Cena pojedyńczego numeru 1 zł. 50 gr., Zagranicą 25 centów.

Redakcja i Administracja: Wspólna 20 m. 39

Ogłoszenia: 1 kolumna 100 zł., ½ kol. 60 zł., ¼ kol. 30 zł.

Redaktor i wydawca: M. Szczuka. Druk. „Rola" J. Buriana, Mazowiecka 11.